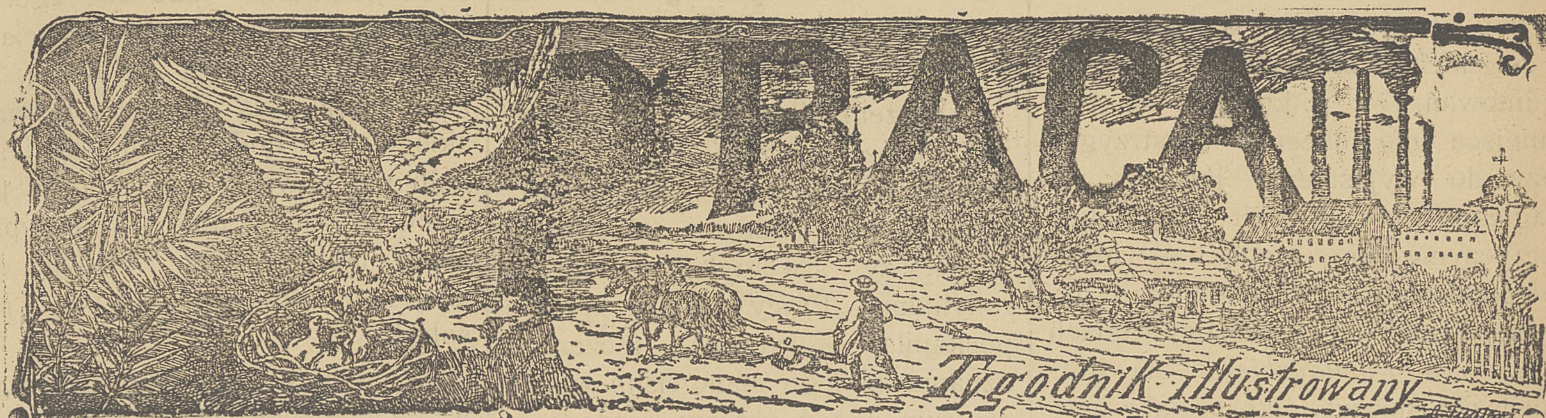
Nr. 44. POZNAŃ. — KATOWICE. — KRAKÓW. Rok V.
Niedziela, dnia 3-go Listopada 1901 r.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Do moich braci Górnoślązaków.

Prusacy przez aresztowanie p. dra Rakowskiego pozbawili „Pracę“ najruchliwszego jej współpracownika. Proszony przez p. Marcina Biedermanna wstąpiłem w stały skład redakcyi jego pisma, aby choć jako tako zapełnić lukę powstałą, poprowadzić dalej robotę rozpoczętą przez mego poprzednika i w ten sposób przysłużyć się sprawie narodowej na Śląsku.

Przy rozpoczęciu mej działalności jednakże zwracam się do Was, z prośbą, kochani Rodacy, abyście przelali na mnie zaufanie, jakiemście darzyli pana dra Rakowskiego.

Zwracajcie się do mnie nietylko z Waszymi żalami i bolami, lecz nie skąpcie mi także i rady Waszej, aby robota nasza była skuteczną, aby węzły kojarzące Was z „Pracą“ przez moją osobę jeszcze więcej się zacieśniły i aby panowały między nami stosunki iście braterskie.

Jako syn ludu górnośląskiego, który między Wami żył, z Wami cierpiał, który na własnej osobie doznał, co to jest brutalność pruska, który własnemi oczyma patrzał, jak jawni i ukryci wrogowie nasi ograbiają lud polski z przyrodzonych praw jego, jak Niemcy i żydzi wyzyskują pracę Górnoślązaków, tuszę, iż dobrze odczuję i zrozumiem Wasze potrzeby, i razem z Wami, z dłonią w dłoń, skutecznie walczyć będę za sprawę polską w Staropolsce.

Mamy wielkie zadania do spełnienia. Wiecie, że cały naród polski ma oczy zwrócone na nas Górnoślązaków i z niecierpliwością wyczekuje chwili wyborów, podczas których czynem zaprzeczyć mamy twierdzeniom wrogów naszych, jakobyśmy nie byli Polakami.

Oto jeden z najważniejszych celów naszej polityki narodowej.

Na drodze do tego celu jednakże napotkamy na liczne i wielkie trudności.

Wszystkie żywioły nam wrogie bez względu na wyznanie religijne podadzą sobie ręce w tych zapasach ludu polskiego z napierającą niemczyzną.

Dlatego potrzeba nam skupienia wszystkich sił naszych w imię Polski, której synami jesteśmy.

Hasłem w ciężkiej i mozolnej pracy niech nam zawsze będzie: *dla ludu przez lud!*

Hasło to nieomylnie zaprowadzi nas do upragnionego celu, jak ongi gwiazda świecąca zaprowadziła św. Trzech Króli na miejsce zbawienia do stajenki Betlejemskiej.

Pod takimi znaki wrogów
Zwyciężymy i wyprzemy
Daleko z ojczystych progów,
Lecz oręża nie złożymy.
(*Czesł. Lubiński.*)

Katowice, dnia 26-go października 1901 r.
Wojciech Korfanty.



Dziwna „obrona.“

Pod nagłówkiem „Głos Górnośląski“ zamieścił „*Dziennik Poznański*“ ostatniemi czasy szereg artykułów, przeznaczonych na wyświetlenie kwestyi, jak wobec rodaków na Górnym Śląsku zachować się powinni Polacy innych

dzielnic pruskiego zaboru i jak zapatrywać się należy na stosunek nasz do centrum, zawdzięczającego — jak wiadomo — braciom naszym w prowincyi śląskiej dużo poselskich mandatów. W toku rozumowań, — o których na tem miejscu nie chcemy rozstrzygać czy do wyjaśnienia lub też zamglenia powyższych zagadnień przyczynić się mogą, — autor wspomniał o odmiennych niż dawniejszemi laty zapatrywaniach „*Kuryera Poznańskiego*“ na górnośląską sprawę. Skorzystał z tego „Dziennik Poznański“ nie na to, ażeby poglądom „Kuryera P.“ na sprawę przeciwstawić swoje zdanie, o które czytelnikom pisma każdego najbardziej chodzić powinno, — lecz na to, ażeby na teraźniejszą redakcyą „Kuryera“, która w krótkim stosunkowo czasie potrafiła sobie zjednać i poważanie i sympatyą ogólną, rzucić światło ujemne.

Właściwą argumentacyą przeciwko nowej redakcyi „Kuryera“ poprzedza „Dziennik“ następującemi zwrotami: „*przykro* nam, że potrącić musimy *na pozór* polemicznie o stanowisko innego pisma“ (t. j. „Kuryera“) ...„nie dla polemiki zasadniczej, ale *po prostu* (sic!) z formalnej strony *musimy* wobec szanownego przyjaciela naszego z Górnego Śląska objaśnić stanowisko „Kuryera Poznańskiego“, a zaraz dalej: „musimy wystąpić *w obronie* „Kuryera“ przedewszystkiem o tyle, że polityka tegoż pisma z r. 1895 nie obowięzuje redakcyi obecnej i co do zapatrywań zupełnie odmiennej od tamtej.“

„Dziennik“ zaznaczywszy tak oto, że „przykro mu potrącić o stanowisko „Kuryera“ i że „musi wystąpić w obronie „Kuryera“, (o którą zapewne „Kuryer“ wcale nie prosił!) — pisze następnie „dla lepszego zrozumienia rzeczy“, iż nowa redakcya „Kuryera“ „szukała zrazu oparcia o t. zw. partyą ludową, której organa, mianowicie „Orędownik“ i „Postęp“ poparły ją też stanowczo.“

„Następnie“ — tak pisze „Dziennik“ dalej — „redakcya „Kuryera“ nawiązała bliższe stosunki z organami radykalnymi stronnictwa narodowo-demokratycznego i znalazła znów poparcie u „Gońca Wielkopolskiego“ i „Pracy.“

Dalszem odkryciem „Dziennika“ jest to, że zwrot ku „radykalnym“ organom „odstręczył“ „Kuryerowi“ pisma partyi ludowej, ale za to „ściślejszy“ stworzył „stosunek do radykalnej „Pracy“, która też nie poskąpiła „Kuryerowi“ szczerego uznania za jego stanowisko wobec centrum, a ten „objaw serdeczności“ ze strony „Pracy“ „jest oczywiście wyrazem wdzięczności za uznanie, jakie w „Kuryerze“ znalazło stanowisko „Pracy“, stanowisko pp. dra Rakowskiego i Biedermanna“. Dla dopełnienia „obrony“ „Kuryera“, „Dziennik“ mimo wszelkiej „przykrości“, jaką mu sprawia „potrącanie na pozór polemiczne“ pisze: „jak daleko redakcya „Kuryera“ zaszła, widziano w ogłoszeniu interwiewu z Różą Luxemburg, który znów nie przeszkadza urządzaniu pielgrzymki do Rzymu“ itd.

Na całe te wywody „Dziennika Poznańskiego“ odpowiedziała nowa redakcya „Kuryera Poznańskiego“ wiele znaczącem milczeniem. Świadczy to o równowadze i takcie jej głównego dzisiaj kierownika.

Nie prosząc nikogo o opiekę, nie narzucając nikomu swoich zapatrywań, nie wyzywając nikogo do czczej polemiki dziennikarskiej, nowa redakcya „Kuryera“ uwydatniła w szeregu rozmaitych artykułów swój program polityczny, na uczciwych narodowo-katolickich zasadach oparty. W przeciwieństwie do pism nie wyrażających jasno swoich myśli programowych, a zazwyczaj dlatego, że ich po prostu nie mają, „Kuryer Poznański“ pod dzisiejszem kierownictwem niejednokrotnie zabierał głos rozumnie i jasno, a z taką otwartością, jaka cechuje ludzi świadomych tego, czego chcą i do czego dążą. Na podkładzie narodowych potrzeb naszego społeczeństwa raz wraz uwypuklają się w „Kuryerze“ zasady szczerze katolickie i zdrowe poglądy na sprawy nasze społeczne i ekonomiczne, zawsze zgodne z naszemi narodowemi uczuciami i z naszą narodową godnością. To znamionuje dziś „Kuryera Poznańskiego“, to dodało mu siły i nadało mu powagi tyle, że nie potrzebuje szukać oparcia lub poparcia w jakimkolwiek istotnym czy urojonym obozie. „Kuryer“ jest sobą!

Że mimo wcale niewątpliwego, wcale niedwuznacznego, ale owszem bardzo wyraźnego dziś charakteru redakcyą „Kuryera“ i „Kuryera“ samego łączą dobre stosunki z pismami różnych barw politycznych — tłomaczy się nie lawirowaniem, jakie „Dziennik“ ma na myśli, ale osobistym taktem i uprzejmością jej kierownika, a bardziej jeszcze przyzwoitym tonem w piśmie przy wszelkich kwestyach spornych.

Osobiste zaczepki i uszczypliwości obce są łamom „Kuryera“, traktuje on każdą sprawę dla sprawy samej, a nie dla sympatyi lub niechęci osobistej. Obok tych zalet znamionuje dodatnio „Kuryera“ staranność porówno informacyjna jak i zewnętrzna, objawiająca się w stylu i poprawności języka. Wszystko to składa się na całość tak sympatyczną, że ktokolwiek teraz przybywa do lokalów publicznych dla przeczytania gazet, sięga nasamprzód po „Kuryera“. Bez stronniczej zawziętości i bez uprzedzeń „Kuryer“ informuje dokładnie o wszystkiem i wszystkim naszym sprawom służy, a ztąd też zapewne nikogo ranić nie może, iż w łamach jego pojawia się referat interwiewu z tak ciekawą osobistością, jak Róża Luxemburg, ani też, gdy w tych samych łamach jest ogłoszenie przygotowywanej pielgrzymki do Rzymu.

Jedna jeszcze cecha sympatyczna uwydatnia się w „Kuryerze“ i jego redakcyi — to bezpretensyonalność. Ani na jedyną wielkość, ani na nieomylność nie pozując, kierownictwo obecne organu tego broni praw naszych podług prawd i uczuć, odpowiadających naszej

narodowej istocie. Nie wynosząc się i nie chełpiąc zjednywa sobie niepodzielone pochwały i uznanie.

Oto cała tajemnica dzisiejszego powodzenia „Kuryera“, znaczenia i powagi, jakiej z dniem każdym nabiera. Szczerze też każdy życzy mu pod teraźniejszem kierownictwem jak najświetniejszego rozwoju.

Narodowiec.



Do Niemców.

Dziś wy nas nie zrozumiecie, bo jesteście ślepi i głusi, bo serca wasze napełniają przesądy barbarzyńskie. Może potomkowie wasi za parę wieków zrozumieją nas, gdy barbarzyństwo panujące w wasem państwie „ładu i bogobojności“ ustąpi miejsca prawdziwej cywilizacyi.

Kłamalibyśmy, gdybyśmy wam powiadali, że was kochamy. My was nienawidzimy i to z całego serca.

Wierzymy, że pomiędzy wami są zacne i uczciwe jednostki, które wyprzedziły społeczeństwo wasze, i przejęte są prawdziwą kulturą.

Tych my czcimy i szanujemy, lecz naród wasz, społeczeństwo wasze nienawidzimy z głębi duszy naszej.

Zacne i rozumne jednostki z pomiędzy was łatwo pojmą, że inaczej być nie może. Pogardzałyby nami, gdybyśmy śpiewali wam ody miłosne.

Powiedźcie, kogo z was mielibyśmy miłować?

Czy rządy wasze, które na każdym kroku starają się wytępić narodowość naszą?

Powiedźcie, za co byśmy was mieli miłować?

Czy za to, żeście wypędzili nasz język ojczysty z urzędów i szkół, chociaż królowie wasi nam prawo do używania go zaprzysięgli?

Czy za to, że karzecie więzieniem dziatwę naszą, że stara się zapoznać z dziejami narodu naszego i z płodami ducha wieszczów naszych?

Czy za to, żeście ustanowili komisyę kolonizacyjną, która ma wyzuć nas z ziemi ojczystej i to jeszcze w części za grosz nasz własny?

Czy za to, że bojkotujecie naszych kupców i rzemieślników i na ich miejsce sprowadzacie obleciświatów najgorszego gatunku do kraju naszego?

Czy za to, że ścieśniacie nam prawa, które konstytucya wasza nam gwarantuje?

Czy za to, że rozwięzujecie nasze zebrania i towarzystwa i zagradzacie ludowi naszemu drogę do prawdziwej oświaty, a natomiast pędzicie go na niecne zabawy do karczem?

Czy za to, że obronę naszych praw przyrodzonych i miłość Ojczyzny, największą cnotę naszą, karzecie jako podburzanie do gwałtów?

Czyż mamy miłować urzędników waszych, co brutalnie i pogardliwie obrażają święte uczucia nasze?

Czy dziennikarzy waszych, którzy ograbianie nas z naszych praw narodowych głoszą jako zaszczyt i posłannictwo narodu waszego?

Czy duchownych waszych, którzy dla przypodobania się rządowi usiłują zniemczyć nas za pomocą kościoła, szkółek i ochronek, którzy tak dalece przejęci są barbarzyństwem, że mają czelność nazywać nas narodem znikczemniałym?

Czy filozofów waszych, którzy swojem „Ausrotten“ wzywają was do wytępienia żywiołu polskiego?

Czy uczonych waszych, którzy iście kuglarskiemi krętactwami przyoblekają w gałganki naukowości narodożercze instynkta rządu waszego?

Spojrzyjcie na krzywdy, bóle i cierpienia nasze, a zrozumiecie nienawiść naszą.

Polak nigdy nie uzna zasady waszej: siła przed prawem, nigdy nie uchyli karku przed hasłem waszem: Salus rei publicae suprema lex, że naród istnieje dla państwa, lecz zgodnie z przeszłością narodu polskiego zawsze pozostanie w jego katechiźmie politycznym na pierwszem miejscu: Salus populi suprema lex, szczęście narodu jest pierwszem przykazaniem.

Wiemy, że Chrystus i uczniowie jego nakazują miłość. Aleśmy słabymi ludźmi. Krzywdy i bole wygnały miłość z serc naszych. Przyznajemy się do tego grzechu, bo nie chcemy przekupić was i miłości nie żądamy, jeno sprawiedliwości.

Ale dla uczucia sprawiedliwości nie ma miejsca między wami, bo jesteście bez serc, bez ducha, barbarzyńcami strojącymi się powierzchownie w gałganki kultury. Starliście z siebie znamiona człowieczeństwa.

Nie dziwcie się więc, że Polak, co widzi krzywdy swoje, co nie wyzuł się jeszcze swej przeszłości i przyszłości, co widzi waszą nienawiść ku sobie za miłość Ojczyzny, czuje i myśli tak samo, jak wielki jego wieszcz narodowy Zygmunt Krasiński:

. . . . . bo z mleka wyssałem
Że was niecierpieć jest święcie i pięknie,
I ta nienawiść mojem dobrem całem.

Vester.



„Ścisłość pruska.“

(Garść wrażeń i uwag.)

Kierownicy ruchu antypolskiego w Prusach coraz namiętniej, coraz natarczywiej obrabiają opinię ogółu niemieckiego na niekorzyść naszą. Pragną nas pozbawić wszelkich sympatyi. Nie przestają wmawiać w swych ziomków, że polskie społeczeństwo jest nawskroś już przegniłe, zwyrodniałe, że opieranie się zwycięzkiemu pochodowi kultury niemieckiej w ziemiach słowiańskich na wschodzie coraz to słabnie; objawy oporu są ostatnim przebłyskiem dogasającego płomienia, rozdmuchiwanego przez „agitatorów“, ale niemającego już istotnej siły. Trzeba się zatem śpieszyć, i silną dłonią niemiecką przydusić, przytłumić do cna ów płomień słabnącej narodowej świadomości. Słuszna więc, ażeby ze wszech stron napływały składki na towarzystwa popierania niemczyzny, ażeby dawano na przemysł niemiecki na wschodzie, itd. Dawajcie pieniądze, dawajcie! Trzeba walkę natężyć, bo prędzej, czy później lud ten skazany na wymarcie, na pochłonięcie przez „wyższą nieskończenie“ kulturę niemiecką. Nie ma go więc co żałować. Owszem, czyn dobry, miłosierny spełni-

cie, bracia niemieccy, gdy ukrócicie walkę śmiertelną tego szczepu „zmarniałego!“ Wszelkie ostre środki, jakich żądamy, są uzasadnione, bo ukrócą bezsilne, bezowocne miotanie się „agitacyi“ polskiej, przyspieszą zlanie się Polaków pruskich z żywiołem niemieckim. Będzie to dobrodziejstwem dla ludu tego! Czemuż mu nie wyświadczyć dobrodziejstwa?!

I niejeden z braci niemieckiej daje się złudzić owemi wywodami „ścisłemi“. I wydzierają mu z serca resztę zastanowienia, resztę poczucia przychylności dla walczących o skarby narodowe. A hakatyzm coraz szersze zdobywa sobie koła dla popierania swych zamysłów skrajnych, dla przeprowadzenia szeregu nowych rozporządzeń i praw wyjątkowych przeciw Polakom.

Jedym z najdobitniejszych, głównych argumentów, jakie wywodzą zdawna wrogowie nasi na dowód, że jesteśmy niezdolni do ostania się wobec niemieckiej kultury, jest przeciwstawienie wyrozumowanej *ścisłości* pruskiej, a bezmyślnego nieładu, braku dokładności, umiejętnej organizacyi wśród Polaków. Ścisłość ta — powtarzają — wyniosła Prusy na szczyt potęgi w Europie, brak jej, bezładność działania zgubiły Polskę, i oddają po dziś dzień resztki plemienia polskiego w Prusach bezwarunkowo na łup wyższej cywilizacyi niemieckiej.

Czytamy wprawdzie bardzo często też w dziennikach niemieckich, wrogich nam, rozpaczliwe wywody o coraz to umiejętniejszem organizowaniu się Polaków przeciwko Niemcom, o zagrażaniu w ten sposób żywiołowi niemieckiemu na wschodzie, ba, nawet w Berlinie i w zachodnich prowincyach — ale są to artykuły obliczone na doraźny, cząstkowy skutek: ażeby jaką władzę, świecką czy duchowną, pobudzić rychło do wystąpienia przeciw nam, do popsucia nam szyków, albo żeby z szarego tłumu niemieckiego tych, co się dają „brać“ na takie strachy, pobudzić do obfitszych składek na rzecz „zagrożonej niemczyzny“.

W istocie kierownicy ruchu antypolskiego nie obawiają się zalewu Niemiec przez żywioł słowiański — pragną tylko przyśpieszyć wszelkiemi środkami nieuniknione ich zdaniem zniemczenie nas, a ku ułatwieniu sobie pracy działają na współziomków to zastraszaniem, to pobudzaniem dumy niemieckiej. Sami o wyższości kultury niemieckiej są bezwarunkowo przekonani i pewni, że zniemczenie Polaków jest tylko kwestyą czasu.

Nam trzeba zachować zimną krew w walce: ani się unosić nad przesadnemi, kłamliwemi obrazami wypierania czy bodaj uciskania Niemców, ani też tracić otuchy wobec buty „przemożnej kultury niemieckiej! Uciskać Niemców nie mamy powodu i możności — skoro zaś postępy przemysłu naszego itd. nazywają uciskiem — odpowiedzmy spokojnie, a róbmy dalej swoje! Gdy zaś zapowiadają nam niemylne pochłonięcie przez olbrzyma kultury niemieckiej, — niech gadają, my róbmy dalej swoje!

Nie zjadł nas ten olbrzym dotąd i nie zje, choć paszczę rozwiera!

Ufność tę mieć możemy, oceniając rozważnie stanowisko nasze, nie dając się znęcić pochlebstwami lub przesadnem przedstawieniem powodzeń naszych do ustawania w natężonej walce, ani też nie dając się zastraszyć przechwałkami kulturników niemieckich, by opuszczać ręce!

Błędów naszych się nie zapieramy, ani błędów przeszłości, ani niedostatków podziśdzień jeszcze utrudniających nam postęp. Ale postęp ten jest niezaprzeczalny — toż poznaliśmy błędy nasze, i staramy się je wykorzeniać. Obecny rozwój naszego życia narodowego daje nam rękojmię powodzenia w dalszej walce. Wiemy, że walka ta będzie coraz gwałtowniejszą — nie będziemy ustawali chełpiąc się z dotychczasowych powodzeń.

Ale nie potrzebujemy sobie odmawiać pociechy i pobudzenia, jakie daje widok błędów i słabizn nieprzyjaciela. Odparliśmy dość szczęśliwie dotychczasowe szturmy na twierdzę naszej narodowości, odeprzemy i dalsze, choć nieprzyjaciel liczniejszy, choć wytacza nowe przeciw nam już działa, zapożyczone z warowni centrum! Krzepiąc własne siły, możemy spokojniej oczekiwać napadów, widząc, iż wśród nieprzyjacielskich, choć liczniejszych szeregów, coraz więcej też lichych żołnierzy.

Słabizna nieprzyjaciela, która, nie pobudzając nas broń Boże do lekceważenia sił wrogich, powinna nam przecie dodawać otuchy, jest zanikanie powolne owej sławionej pruskiej *ścisłości.*

Oto jeden z najgłówniejszych przymiotów, za pomocą którego Niemcy pochlebiali sobie przeprowadzić zniemczenie wschodnich polskich prowincyi, maleje, niknie! Skoro Prusacy, zdobywszy sobie ową ścisłością stanowisko przemożne w Europie, nie mogli pochłonąć Polaków, dopóki przewyższali ich istotnie w tym względzie, czyż powiedzie im się teraz, gdy Polacy coraz więcej nabywają tak cennego przymiotu, i wdrażają się do pracy ścisłej, rzędnej, podczas gdy społeczeństwo niemieckie cofa się w tej mierze?!

Zanikanie ścisłości pruskiej jest widocznem na każdem prawie polu działalności społecznej. W świetnym ustroju urzędniczym, chlubie Prus, znajdują Niemcy sami coraz więcej wad, zwyrodnień: ze ścisłości chlubnej wyrodziła się niejednokrotnie drobnostkowość, pedanterya mizerna, pochłaniająca mnóstwo czasu i pieniędzy na czynności nikłe, błahe, tłumiąca w ludziach poloty wyższe, zacieśniająca ich widnokrąg duchowy. Toż pisma niektóre niemieckie ze wstydem opisywały niedawno, jak to o stłuczoną na jakimś dworcu szklankę wartości 10 fenygów, pozapisywano mnóstwo papieru na „berychty“, natracono dużo czasu i pieniędzy w sposób marny!

Ale pominńmy te plamy małe, od dość dawna już się ujawniające, a teraz tylko szerzące się gwałtowniej — czyż nie byliśmy w ostatnim czasie świadkami spraw głośnych na świat cały, które chlubnej niegdyś ścisłości pruskiej wystawiły smutne świadectwo.

Czyż potrzebuję przypominać szereg krachów bankowych i przemysłowych zakładów, upadków wywołanych po większej części, jak się okazało, brakiem wszelkiego nadzoru, lekkomyślnością iście „polską“ — jak Niemcy mawiać dawniej zwykli! Sprawy te znane każdemu szczegółowo.

Ale niech mi wolno będzie przypomnieć, że jak na polu przemysłu, tak i w dziedzinie nauki i wiedzy, gdzie „ścisłość niemiecka“ stała się niemal przysłowiową, zaznaczyć trzeba jej upadek. Wszakże słynny profesor Koch, który dziesiątek lat temu wynalazł środek przeciw gruźlicy, o którym dziś się nie mówi, „wsławił“ się niedawno na kongresie londyńskim śmiałem twierdzeniem, iż gruźlica zwierzęca nieprzenośna na ludzi. Nieścisłość odkrycia wykazali wprędce różni koledzy — lekarze, a równocześnie niemiecka prasa musiała przypominać sławnemu ziomkowi o stwierdzonych wypadkach zakażenia się ludzi gruźlicą bydlęcą.

Gdybyż to tak jaki profesor Polak był wystąpił z podobnem „ścisłem“ twierdzeniem na jakim kongresie wszechświatowym! Oczywiście — byliby Niemcy wołali — po polsku nie można się było czegoś innego spodziewać! Toż nadrwili się dość ze Szczepanika, gdy nie każdy wynalazek jego okazywał się zaraz dość praktycznym i zyskownym. A przecież Szczepanik przezwyciężył obojętność, i Wiedeńczycy nie mogli mu odmówić „ścisłości“ pomysłów.

Że w prasie niemieckiej coraz więcej szerzy się nieścisłość, o tem każdy baczny czytelnik jej z łatwością przekonać się może. Nie będę się o tem rozwodził; przytoczę tylko jeden znamienny przykład. Oto jeden z pracowników naukowych w instytucie meteorologicznym berlińskim uskarżał się, że zastępcy prasy wprost przeszkadzają nieraz, zamieszczając przedwczesne i niestosowne wzmianki. A sposób, w jaki n. p. piszą o wyprawach napowietrznych lub

morskich niemieckich, nazywając je „najważniejszemi“ przedsięwzięciami naszej doby, fałszując i zmieniając dane itd., jest dla mężów wiedzy wprost wstrętnym. Toż n. p. z powodu wyprawy prof. Drygalskiego do bieguna południowego pisało jedno z pism berlińskich hymny pochwalne o pracy i zabiegliwości niemieckiej, zowiąc wyprawę najświetniejszem pono dziełem naukowem ostatnich czasów — wyprawę, która się wówczas jeszcze nie była udała w podróż i nie wiadomo, czy i jak się powiedzie!

Nie brak wśród Niemców myślących ostrej krytyki, objawów pedanteryi, powierzchowności i samochwalstwa, panoszących się w miejscu dawnej ścisłości pruskiej, ale fakt, iż krytycy mają coraz więcej do czynienia, pozwala przypuszczać, iż jest to nie wyjątkowy, przejściowy objaw, lecz choroba, zakorzeniona głęboko, z której nie prędko społeczeństwo niemieckie się wyleczy. Źródło choroby nie trudno poznać: jest to oszołomienie sławy i wielkości, wywołane przez nieopatrznych chwalców dzielności pruskiej, wynoszących lud swój i jego przymioty ponad wszystko w świecie. Zapomniano, że wszystko zepsuć się może i chełpiono się „najwyższemi“ przymiotami kulturalnemi bez względu na to, czy dość miały podtrzymania.

Dla nas stąd nauka, byśmy dobrze przymioty zdobyte umieli podtrzymywać, kształcić, ukrzepiać, nie grzesząc przytem chełpliwością. A dziękujmy Bogu, że w miejsce nieopatrzności i nieładu szerzy się w społeczeństwie naszem coraz więcej chwalebna ścisłość. Zanim Niemcy wyleczą się z zaniku ścisłości, jaki się w nich objawia — czego im szczerze chyba życzymy — starajmyż się cenny ten przymiot pogłębić wśród własnego społeczeństwa, a tem samem ułatwić sobie odpieranie napadów wrogich na narodowość naszą.

I. Skierka.



Dwa słupy.

A tu las...

Ciemny — cichy las...

Rozdzielił się dużym płaszczem zieleni ciemnej na wysokiej ścianie góry — jakby ją całą chciał zasłonić... Wystrzelił szczytami świerków i jodeł, jakby chciał całą armię dzielnych obrońców postawić na tej górze i tak stoi — spokojny — cichy — niemy...

A tu — naprzeciw smutna skała, odarta z zieleni — krzewów, ziół i kwiatów. Pusta i biedna...

Dołem, u stóp tej skały i pod brzeżech tego lasu płynie strumyk wąski, a na brzegach jego dwa — wielkie słupy...

Z lewej strony, żelazny słup z godłem orła austryackiego, z drugiej — słup drewniany — ciężki, gruby, pomalowany biało i żółto — na nim znak orła moskiewskiego...

Wiecież wy, co to znaczy?

To kordon graniczny, oddzielający Polskę od Polski... To znak blizny, która jako cięcie srogie ręką nieprzyjaciela zarysowała się raną krwawą i nie zagojoną jeszcze — o nie!...

A nad nią, po obu stronach stoją słupy, jak dziwne znaki pogrzebu niechrześcijańskiego, jak nad mogiłą stawiane pomniki, które choć napisu nie mają — wiele mówią.

Stanęliśmy w milczeniu.

Cóż mówić nad grobem?

Cóż myśleć nad widokiem rany bolesnej i głębokiej i krwawej?

A z lasu niby się przekrada trwożny i tęskny szept ku owej skale ubogiej po drugiej stronie i mówi jej: — Mojaś ty!...

A od pola z tamtej strony płynie jakaś pieśń żałosna i nuci z płaczem najcięższego bólu: — — — Czemu nas rozdzielono?

A strumień w dole płynie wartko i niby chce uciekać najdalej ztąd — gdzie go zmieniono w graniczny łańcuch, gdzie mu kazano ciągle patrzyć na dwa słupy, wbite niby miecze w pierś matki...

To pod skalną ścianą, bez żadnego krzewu i zieleni żadnej — coś miga.

Jakaś cień rysuje się na głazach.

Coś miga światłem słońca, które odbija się niby w zwierciadle — ginie i znów świeci.

Czyjeś kroki — coraz wyraźniej....

Ach! to sałdat z bagnetem na ramieniu idzie, obchodząc swą straż od słupa do słupa...

Sałdat strzeże kordonu, aby nie przestąpił na tamtę stronę jaki człek niebezpieczny dla państwa rosyjskiego, który ma wielką przewinę na sobie — serce polskie i polską duszę!...

Sałdat strzeże kordonu, aby nie zdołał kto z tej strony przemówić słów parę do brata mieszkającego z tamtej strony, boć przecie dwa słupy wbite na to, iżby przypominały, że to *niewola!*

Ej sałdacie!... Czy nie szkoda twego trudu?

I twój bagnet nie pomoże i twój mundur nie zastraszy — od lasu do skały płynie szum cichy, a on niesie polskie słowo tamtej stronie — leci ptak szary i ma w swym locie szept skargi naszej, skargi za krzywd tysiące i niesprawiedliwości wiele... Nad zagonami pól, dołem, mgłą lekką, rosą chłodną unosi się oddech naszej ziemi biednej — czy go sałdacie wstrzymasz, aby nie płynął po za te słupy graniczne?

A tu las...

Ciemny — głuchy las...

A tych słupów granicznych czy nie las cały tędy od Bałtyku aż po morze drugie?

Przecięta blizna kordonu między ziemią naszą, zabraną przez Prusaków, a oddzieloną od ziemi zabranej przez Moskali.

Tutaj idzie linia odgraniczająca ziemię zabraną przez Austryę i Moskwę.

Co to za długa smuga rany najboleśniejszej dla narodu? I ileż tych słupów stoi po jednej i drugiej stronie?

A jednak — gdy patrzymy na te znaki niemiłosierdzia ludzkiego — rozpacz nam serca nie przecina — dusza nie płacze smutkiem beznadziejnym....

Dla myśli, dla serca, dla wspomnień naszych najdroższych i dla marzeń na przyszłość naszej Ojczyzny słupów, kordonów i sałdatów nie ma.

Sałdat wraca — idzie dalej, znów wraca i tak wzdluż blizny tej wielomilowej chodzi ich tysiące... ale nie ustrzegą, byśmy myślą tam nie lecieli, byśmy tamtej części Polski nie kochali, byśmy sobie nie powtarzali raz po raz: i to nasze i tamto nie wasze...

Dwa słupy patrzą na siebie...

Kiedy one wbite tu były raz pierwszy? Długoż one tu stać będą?

Ej lesie ty ciemny — ty wiesz pewno, kiedy ten czas przyjdzie, gdy słupy te obalą się, a sałdata nikt w tej stronie nie obaczy. Ej lesie ty smutny — ty wiesz dobrze, o czem serca z tamtej strony marzą i w co wierzą szczerze... Więc też szeptaj w ciche noce tamtej skale smutnej, iż się blizna ta zagoi...

To nas nie rozdziela — co dział graniczny stanowi. I te słupy dwa — granicą nie są... Są to rany, a z ran wyleczyć się można.

Ciemny lesie — głuchy lesie — czy ty wiesz, gdzie zioła na zgojenie tych ran?...

Tych ran...

Z. S.





Z TYGODNIA.

Z wielką lubością rozgadują i rozpisują się Niemcy o polskiej gospodarce. Dzisiaj gdy mamy przed sobą nowe wydanie czasów upadku ekonomicznego po wojnie francuskiej, mówi świat cały

o gospodarce niemieckiej mimo wszelkich zaprzeczeń ze strony prasy niemieckiej. Niemcy chcący swoim przemysłem zawojować świat cały, przespekulowali się i przechodzą za karę swej żądzy panowania w całym świecie ciężkie przesilenie gospodarcze.

Nietylko wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, nietylko kupcy, wielcy i mali, nietylko rzemieślnicy narzekają na złe czasy, ale przedewszystkiem pracujący lud niemiecki drogo opłaca ambicyę i chęć zysku swych pracodawców i swego rządu.

Nie ma tygodnia, żeby gazety nie donosiły o upadku jakiejś wielkiej firmy. A któż policzy dopiero setki konkursów drobnych, o których się nie pisze. Tysiące biednych robotników snują się bez zajęcia po ulicach, a nie jednemu głód surowo zajrzy w oczy, skoro oszczędności w dobrych czasach porobione znikną na niezbędne potrzeby życia. Bóg raczy wiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa.

Nie rozspisywalibyśmy się tak obszernie o wspaniałej gospodarce niemieckiej, ale położenie nasze, nas zmusza do tego.

Rozdarci i przykuci przemocą do państwa niemieckiego, musimy chcąc nie chcąc przechodzić koleje jego życia ekonomicznego. Gospodarka niemiecka tysiącom naszych kupców i przemysłowców podkopie byt, a wielu, bardzo wielu zupełnie zrujnuje. Dla tysięcy naszych robotników nadeszły ciężkie czasy, gdzie trudno o zarobek a tem samem także o chleb.

Tysiące marek ludu naszego zaoszczędzonych w lepszych czasach opuszczą banki ludowe na utrzymanie żon i dzieci dla braku zarobków, a jeżeli chłop i robotnik nie ma dochodu, nie ma i kupiec i przemysłowiec.

Bez względu na te chwile krytyczne agraryusze walczą zapalczywie o podwyższenie ceł na artykuły spożywcze. Rada związkowa projekt po pierwszem czytaniu przyjęła bez znaczniejszych zmian. To samo stanie się przy drugiem czytaniu, tak że parlament zaraz po otwarciu będzie mógł przystąpić do obrad.

Mimo całej depresyi, mimo nędzy ludu, rząd ciągle jeszcze ma pieniądze na wspieranie biednej niemczyzny „na Wschodzie“. W tym celu naczelnemu prezesowi bydgoskiemu minister oświaty ofiarował 800,000 marek za wyraźnem pozwoleniem *cesarza Wilhelma.*

Cesarz Wilhelm coraz bardziej bierze w swe ręce kierownictwo wszystkich spraw publicznych. O ministrach nic się nie słyszy. Bardzo trafnie określił sytuacyę pastor Naumann, wielki zwolennik idei cesarstwa i wielbiciel cesarza Wilhelma II-go. Pisze on tak w swoim tygodniku „Die Zeit“:

„*Cesarz robi wszystko.* Cesarz daje uniwersytetowi profesora Spahna, gaikowi Fryderyka projekt na studnię. Cesarz jest nietylko pierwszą głową wojska, piewszym zastępcą zagranicznej polityki, pierwszym protektorem przemysłu, handlu i także rolnictwa, pierwszym biskupem kościoła ewangielickiego, ale jest on także najwyższym kierownikiem nauk i najwyższym sędzią sztuki. On ma czas na wszystko i robi wszelkie inne władze naczelne zbytecznemi. Z dalekiej przeszłości pojawia się francuskie zdanie: l'état? c'est moi. (Państwo? to ja)...

Cesarz zastępuje cały naród w jego stosunkach światowych. Na to mu daje naród wojsko i pieniądze z całem zaufaniem. Lecz dla uniwersytetów i kas miejskich dawało się dotychczas pieniądze nie na to, aby jedna tylko wola rządziła“.

Niepocieszne stosunki niemieckie!

Przypominają one nieco sytuacyą polityczną w Anglii. Tu głównym sprawcą nieszczęścia sympatycznego tak zkądinąd narodu angielskiego, jest lord Chamberlejn, który wywołał wojnę z Burami. Przeciwko niemu to angielska opinia publiczna z dnia na dzień coraz ostrzej się zwraca. Naród angielski przychodzi do przekonania, że wojna z Burami tak, jak dotychczas prowadzona wcale się nie przyczynia do pomnożenia chwały Wielkiej Brytanii, lecz przeciwnie okrywa ją hańbą. Niedawno temu złożono z urzędu jenerała Bullera, na który go krótko przedtem powołano. Lord Kitchener daremnie prosi o posiłki, bo przy obecnych siłach z Burami nie może sobie dać rady, lecz otrzymać ich nie może. Wszystko to niesłychanie roznamiętnia naród, który ogląda się daremnie za zbawcą, coby mógł wydobyć nawę państwową z mielizn, na które dostała się pod kierownictwem Chamberlajna i Bodricka.

Szczęśliwie natomiast ominął szkopuły prezes ministrów francuskich Waldeck-Rousseau. Zapowiedziany powszechny strejk górników francuskich mógł być fatalnym dla obecnego ministerstwa. Stronnictwa konserwatywne i nacyonalistyczne chciały korzystać z zamieszania groźbą ogólnego bezrobocia wywołanego i pozbyć się nareszcie niesympatycznego im ministerstwa oczkującego z socyalistami. Mówiono i pisano już wiele o niepokojach i rewolucyi, lecz Waldeck-Rousseau pozyskał w parlamencie dla siebie republikan stroniących dotychczas od niego za jego sympatye z socyalistami, i wygrał sprawę, chociaż socyaliści dotychczas po jego stronie stojący go opuścili. Zgromadzeni w St. Etienne delegaci górników nie odważyli się wobec jego zwycięstwa zapowiadać terminu powszechnego bezrobocia, lecz odłożyli tę sprawę, jak to mówią, ad calendas graecas.

K. O.



Przegląd prasy.

Niemieccy katolicy mieszkający między nami na ziemiach polskich z dniem każdym pokazują wyraźniej prawdziwe swe oblicze. O związku katolickich towarzystw niemieckich i jego dążnościach hakatystycznych rozpisywały się obszernie w ostatnim czasie gazety polskie i surowo napiętnowały ich tendencye niezgodne z prawdziwą nauką Chrystusa. Dziś całemu społeczeństwu naszemu jest jawnem, że niemieccy katolicy chcą użyć kościoła jako środka giermanizacyjnego. W Księstwie Poznańskiem, gdzie duchowieństwo jest w większej części polskie, toczą oni otwartą walkę przeciw Najprz. X. Arcypasterzowi i księżom polskim w hakatystycznych gazetach, na Sląsku zaś i na obczyźnie duchowieństwo niemieckie z niektórymi biskupami na czele idzie ręka w rękę z niemieckimi swymi wiernymi w walce przeciw Polakom.

Na dowód tego posłuchajcie, co pisze jeden z księży w krakowskiej „**Nowej Reformie**“ o osławionym biskupie wrocławskim kardynale Koppie:

„Kardynał Kopp w Wrocławiu spać mi nie daje. Myślę i myślę i pojąć nie mogę... jego katolicyzmu.“ Kardynał powszechnego Kościoła powinien mieć serce szerokie, jak papież, by mógł ludy wszystkich języków ukochać jak braci swoich miłością Bożą. Pomyślność wszystkich wiernych winna mu leżeć na sercu, o potrzebach religijnych czy Polaka, czy Niemca powinien zarówno pamiętać. Nie wolno mu jednych nad drugich przenosić dlatego jedynie, że ten jest takiej, a ten takiej narodowości. Powszechny czy katolicki Kościół nie może robić różnicy między Polakiem i Niemcem, uznaje bowiem, że od chwili chrztu św. stali się obaj braćmi w Chrystusie, uczestnikami jednychże łask i obywatelami i członkami jednej społeczności, zwanej Kościołem na ziemi, i synami jednej ojczyzny po śmierci. — Cel ten wspólny osiągnąć mają za pomocą wzajemnej braterskiej miłości, „jedni drugich znosząc“, jedni drugim wybaczając, jedni o dobro drugich aż do poświęcenia się starając. To jest główna zasada społeczności religijnej zwanej katolickim kościołem.

„Kto zatem w tym Kościele, stojąc na stanowisku przełożonego, jak właśnie ks. biskup Kopp, jednych członków proteguje, drugimi pomiata, jednym pozwala na to, czego drugim zabrania, do jednych, jak w tym wypadku, przemawia w ich narodowym języku, do drugich nie, i w tym drugim zabrania się modlić w ich macierzystym języku — ten nie działa po katolicku, ten odstępuje od głównej zasady katolickiego Kościoła, działa na jego szkodę. On z wysokości stanowiska swojego i z mocy wysokości urzędu swego jest obowiązany jak jednę wiarę, tak jednę miłość głosić, zaszcze-

piać i wykonywać wobec wszystkich, których pasterzem obrany został.

„Tymczasem ks. biskup Kopp dla jednych pasterzem, dla drugich wilkiem się staje. Dlaczego? Bo zamiast do miłości i sprawiedliwości owieczki swe zaprawiać, on podsyca nienawiść narodową między niemi i tem sobie i im gotuje potępienie i przekleństwo.

„Bo kto nie miłuje, trwa w śmierci, a tylko miłość jest z Boga i do Boga prowadzi. On zaś swojem postępowaniem okazuje, że sam nie ma braterskiej miłości, a więc trwa w śmierci i wiernym swoim zagradza wstęp do żywota, bo pod rządami jego rozpętały się namiętności narodowościowe i wierni choć do wspólnych Sakramentów uczęszczają, wspólnej wszakże miłości nie mają. A kto nie miłuje, jakoż się zbawić może?

„Więc nie mogę pojąć katolicyzmu ks. biskupa Koppa i w działalności jego widzę posiew dla protestantyzmu i dla... antychrysta.

„Ale nam wobec niekatolickiego postępowania jego należy odnieść się do papieża, aby kres raz temu położył.“

Jacy to katolicy atakują niesprawiedliwie X. Arcypasterza i duchowieństwo nasze, wykazuje **„Kuryer Pozn.“**, który dla charystyki jednego takiego obrońcy upośledzonej „Germanii“ pisze co następuje:

„Więcej kazań niemieckich przy nabożeństwie w Zakrzewie domagał się w korespondencyi, nadesłanej do „Geselligera“, p. Anastazy Sieg, królewski sekretarz kolejowy z Piły — jak donosiliśmy w tych dniach w „Kuryerze.“ Z tego powodu otrzymujemy poniższe pismo:

„Ponieważ sekretarz kolejowy p. Sieg z Piły nie mieszka w parafii zakrzewskiej, dla której domaga się w „Geselligerze“ więcej kazań niemieckich — boć Piła, gdzie p. Sieg urzęduje, nie leży w rzeczonej parafii, lecz w dyecezyi chełmińskiej, do której zakrzewska parafia należy — dziwić się trzeba, że taki życzliwy dla Zakrzewian.

„Możnaby powiedzieć, że interesuje się sprawą nie swoją, gdyby nie to, że rodzice jego mieszkają w parafii zakrzewskiej.

„Są to wprawdzie twardzi Niemcy katolicy, którym pewnie zależy na tem, aby było najwięcej kazań niemieckich, ile że są oni gorliwymi katolikami.

„O p. Siegu, sekretarzu w Pile, tyle wiem, że ma żonę ewangeliczkę.

„Swego czasu wzbraniali mu rodzice ją poślubić, lecz nic nie pomogło. Swoje osięgnął. Może właśnie przez ten maryaż zelus się w nim spotęgował.“

Z powyższych wiadomości możecie się przekonać, kochani czytelnicy, w jakim stopniu wścieklizna niemiecka opanowała niemieckich katolików. Tem pilniej powinniśmy stać na straży naszych skarbów i wszystkiemi siły wspierać nasze duchowieństwo szczerze polskie w trudnem jego położeniu.

B. M.



Korespondencye „Pracy“ i listy od Przyjaciół.

Królewska Huta, d. 28-go października.

(*Teatr giermanizatorski. — Giermanizacya przez kościół. — Taktyka centrowców. — Przyszłe wybory.*)

Giermanizatorski teatr jeździ z miejsca na miejsce i roznosi niemiecką kulturę pomiędzy nami. Większość naszego ludu wprawdzie o tej kulturze ani słyszeć nie chce i na przedstawienia nie chodzi, ale sale nie bywają puste, bo zapełniają pierwsze miejsca nasi pracodawcy i ich urzędnicy, w dalszych rzędach widzimy robotników Niemców, którzy nie mogąc znaleść kawałka chleba w swym „vaterlandzie“ przychodzą na ziemię polską i tu sama ich narodowość przyczynia się do tego, że otrzymują najpłatniejsze miejsca. W ich „vaterlandzie“ psy na nich szczekały, tu między nami czują się apostołami kultury. Ale wróćmy do teatru.

Od czasu do czasu zabłąka się na takie przedstawienie także garstka robotników polskich, kilku z tych, co to żadnych gazet nie czytają, a którym najmilszem miejscem pobytu jest karczma. Nazywamy ich tu zazwyczaj po naszemu „habarami“. Tych my Niemcom życzymy, niech ich sobie czemprędzej zabiorą i jako kwiaty pruskiej kultury do Berlina zawiozą.

Najciekawszą zaś rzeczą jest, że pracodawcy nasi bez względu na wyznanie wiary i przekonanie polityczne, wszyscy w największej zgodzie teatr ten wspierają znacznemi sumami i robotników do uczęszczania zachęcają. Widzimy jak arcykatolicki hr. Ballestrem, należący do partyi centrowej, która bez ustanku prawi, że broni naszego języka, idzie ręka w rękę ze żydowską spółką lipińską. Dyrektor jego Pieler nietylko, że bywa na każdem przedstawieniu, ale daje pieniądze na nie, oddaje salę darmo, której odmawia naszym towarzystwom, gdy chcą urządzić zebrania.

Tak wygląda w praktyce centrowców obrona naszego języka, bo o obronie *naszego bytu* narodowego oni słuchać nie chcą.

Filarami stronnictwa centrum są u nas bezwątpienia księża. Oni stanowią znaczną część zupełnie świadomych zwolenników jego. Zdawałoby się więc, że przynajmniej oni po pierwsze jako słudzy kościoła św., który dla wszystkich jest sprawiedliwą matką, powtóre jako najświadomsi i najwykształceńsi centrowcy zrozumieją hasła katolickiej partyi niemieckiej i postępują podług nich. Ale pożal się Boże! Nasuwa się ciągle przypuszczenie, że hasłami swemi: za prawo, wolność i sprawiedliwość! deklamowanemi bez ustanku w prasie swej, centrowcy chcą łapać na lep naiwnych Polaków. Na dowód tego nie będę powtarzać starych już skarg naszych na postępowanie kardynała Koppa i niektórych duchownych, ale przytoczę nowy wianek faktów, który wykaże, że w praktyce centrowcy postępują zupełnie tak, jakby nie znali haseł swego stronnictwa.

Niedawno temu ks. prob. Buchaly z Gliwic zachęcał robotników swej parafii należących do polskiego towarzystwa robotników, aby się połączyli z kat. towarzystwem niemieckiem. Nasi robotnicy ulegli wpływom księdza i zgodzili się na to. Każdy znający nasze stosunki wie, co to znaczy. O jakiemś równouprawnieniu mowy już tam nie będzie. Straciliśmy jedno ognisko naszej oświaty narodowej, a towarzystwo nowe stanie się czynnikiem germanizacyjnym.

Ks. Kubis z Pilchowic zachęcał swoich parafian do przybycia na owe zebranie gliwickie celem założenia polsko-niemieckiego towarzystwa i przytem wymyślał na nasze polskie gazety. Że towarzystwo polsko-niemieckie mogło powstać, że robotnicy polscy ulegli wpływom ks. Buchalego, za to ich wszystkich ostro zganić musimy.

Polacy, pamiętajcie zawsze o tem, że księdza trzeba nam słuchać w kościele, a po za kościołem jest on tylko obywatelem jak każdy inny. Pilnujmy i baczmy na duchownych naszych, i zwalczajmy ich zachcianki germanizacyjne. Słuchajmy poza kościołem tylko takich księży, co idą ręka w rękę z nami. U nas jest ich bardzo mało, ale życzylibyśmy sobie jak najwięcej takich duchownych, jakich mają rodacy nasi z Księstwa Poznańskiego. Oj jak my im takich duchownych zazdrościmy.

W Lipinach ks. administrator Bennes próbował także zniemczyć tamtejsze towarzystwo robotników, których namawiał do przystąpienia do jakiegoś tam „Verbandu“. Dzielni wiarusy z Lipin dobrze się spisali, bo wytłomaczyli ks. Bennesowi, że oni mają swoje organizacye, a żadnych „Verbandów“ nie potrzebują. Sława wam za to, dzielni Lipinianie! Nasi centrowcy, zarówno duchowni jak świeccy, pomagają hakatystom mniej lub więcej delikatnie do wydarcia nam języka ojczystego, gazety centrowe na Śląsku i w Berlinie wychodzące, jak „Neisser Ztg.“ „Schlesische Volksztg“ i „Germania“ od czasu do czasu uchylają przyłbicy germanizatorskiej i jawnie zaczepiają naszą narodowość i nazywają naszą walkę o przyrodzone prawa narodu polskiego zbrodniczą agitacyą i zdradą stanu, nadreńskie zaś pisma centrowe jak „Köln. Volksztg.“ palą nam kadzidła i ciągle deklamują na temat obrony języka polskiego. Chciałoby się to nazwać perfidyą, ale nie chcemy centrowców posądzać o złą wolę.

Jedna jednakże rzecz jest już dość pewna. Ani już zaczynające się zbliżanie niektórych centrowców do ludu wobec nadchodzących wyborów, ani gruchanie „Köln. Volksztg.“ z tropu nas nie zbije. Nie jesteśmy i nie będziemy zasadniczymi wrogami centrowców o ile zgodnie ze swemi hasłami uczciwie z nami postępować będą, ale domagamy się tego, co nam się słusznie należy. Domagamy się, aby naszych interesów bronili Polacy tj. ludzie, którzy je rozumieją i odczuwają, bo Niemiec, choćby i miał najszczersze chęci zrozumieć nas nie może.

Skoro odbierzemy swoje, tj. skoro we wszystkich okręgach polskich wybierzemy polskich posłów, którzy wstąpią do Koła polskiego, lub też utworzą Kółko górnośląskie, wtedy nie mamy nic przeciwko sojuszowi centrum na zasadzie równouprawnienia celem obrony kościoła św. od zamachów luterskiego systemu pruskiego.

Staropolanin.





W dzień zaduszny

zaludni się cmentarz, to umarłych miasto, choć na godzin kilka; niejedno ciężkie westchnienie, niejedna łza gorąca na grób spadnie, a przed oczyma duszy staną nam drogie, z dawna niewidziane postacie tych, którzy snem wiecznym śpią oto już pod darnią zieloną, pod miękkiem przykryciem liści jesiennych. Niejednemu pamięć wyczaruje te postacie jak żywe i będzie z niemi tęsknił i dumał. Niechaj ten duma, co stoi nad grobem...

Nie zapominajmyż jednak w chwilach, w których każdy zwykł się oddawać rodzinnemu smutkowi i rodzinne swoje przeżuwać bóle, że my prócz grobów ojca i matki, brata lub siostry, mamy przecież wszyscy razem jedną wspólną mogiłę, jeden wielki grób, szeroki i rozległy, jak ta nasza ziemia lasza. Grób, w którym spoczywa wolność Ojczyzny naszej — bo ona żyje jako żywa w sercach naszych! — a jedno drzemie w nim jej i nasza wolność. Nie umarłać i ona, ale śpi! w to wierzymy wszyscy i czekamy, jako dla zmarłych naszych ciał zmartwychwstania w dzień ostateczny do wiecznego życia, tak i dla Ojczyzny naszej powstania do doczesnej wolności.

Jest zaiste dzisiaj ta ziemia nasza przepleciona jak gdyby wieńcem mogił polskich, z których każda droga sercu naszemu. Śpią w nich, na sen nieprzespany ukołysane hufce tych, co za kraj w boju krwawym legli, niedoczekawszy się wolności brzasku. Gdzież takich mogił u nas niema? Mamy je pod Sokołowem, Miłosławiem, Środą, Książem i w Buku, mamy je pod Nową Wsią, Wągrowem, Ignacewem i Pyzdrami, mamy je pod Grochowem, Stoczkiem i Ostrołęką. Mamy je pod Maciejowicami i na Racławickich polach. Prawdziwie to „girlanda mogił, gdzieś idzie i ginie.“

Mamy tu w Poznaniu grób człowieka, który był dla nas mężem opatrznościowym i którego imię niech będzie u nas na wieki wieków błogosławione, a grób dla wszystkich święty, grób ś. p. Karola Marcinkowskiego. On po daremnych krwawych zapasach wskazał nam nowe drogi odrodzenia, nauczył, jak poświęceniem, natężoną a skrzętną pracą zdobywać prawo do życia i tytuł do przyszłości.

Mamy w Buku pomnik dzielnego żołnierza w walce o niepodległość i niestrudzonego szermierza parlamentarnego, ś. p. dra Władysława Niegolewskiego, mamy tu w Poznaniu groby nieodżałowanej pamięci dzielnych posłów i patryotów ś. p. Kazimierza Kantaka i ś. p. Władysława Wierzbińskiego.

Mamy tu w Poznaniu groby zacnych obywateli i gorących patryotów: ś. p. Hipolita Cegielskiego, ś. p. Edmunda Caliera, pułkownika wojsk polskich z r. 1863-go, ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, naczelnego redaktora „Dziennika Poznańskiego, ś. p. Ludwika Rzepeckiego, właściciela i naczelnego redaktora „Gońca Wielkopolskiego“, ś. p. dra Maksymiliana Kanteckiego, naczelnego redaktora „Kuryera Poznańskiego“ i wielu innych.

Mamy w Krakowie na Skałce „groby zasłużonych“ groby tych, którzy życie całe oddali narodowi na usługi i służyli mu każdem tchnieniem swem; to też wdzięczny naród zapragnął ich mieć razem w starym Krakowie, by tam przed ich prochami czołem bić i uczyć się od nich po wszystkie czasy!

Mamy wreszcie tu w Poznaniu groby królów naszych, Mieczysława i Bolesława Chrobrego, a w Krakowie w podziemiach Wawelu groby Jagiellonów, Batorych, Wazów i Sobieskich, którzy po wiek wieków będą świadczyli o niezagasłej sławie naszej i dawnej wielkości i przypominać będą te czasy, w których i nasz naród potężnym był z swych sił i przed którym czołem bił upokorzony Prusak, Albert Brandenburski, wielki mistrz Krzyżaków. . . . . .

. . . .

Do tych to grobów niech wzleci w „dzień zaduszny“ myśl każdego Polaka, a przy nich nie potrzeba nam stawać z lamentem i skargą i łzą próżno straconą, lecz z uczuciem wzniosłej dumy niech się myśl zatrzyma i niech z nich każdy weźmie podnietę i sił zaczerpnie do wytrwałej pracy dla naszego wspólnego dobra:

„Groby wy nasze, ojczyste groby,
„Wy życia pełne mogiły,
„Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,
„Lecz twierdzą siły!“

W tych to uczuciach i w niewzruszonem postanowieniu służenia wspólnie naszej dobrej sprawie jednoczy się w „dzień zaduszny“ ze wszystkimi swymi Czytelnikami i Przyjaciołmi

Redakcya „Pracy.“



Życie.

(Na dzień zaduszny.)

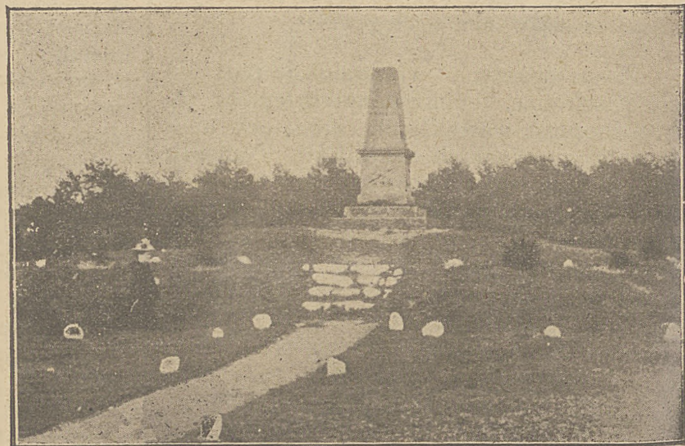
„W każdym niebieskiej jutrzenki rozświcie
„*Kończy się życie i poczyna życie.*
„Kwiat stugodzinny i człowiek stuletni
„I historyczna tysiąców lat era,
„Czy słońce świeci posępniej, czy świetniej,
„Za każdą chwilą rodzi się — umiera!..

(Syrokomla.)

Życie jest światłem — śmierć nocą...

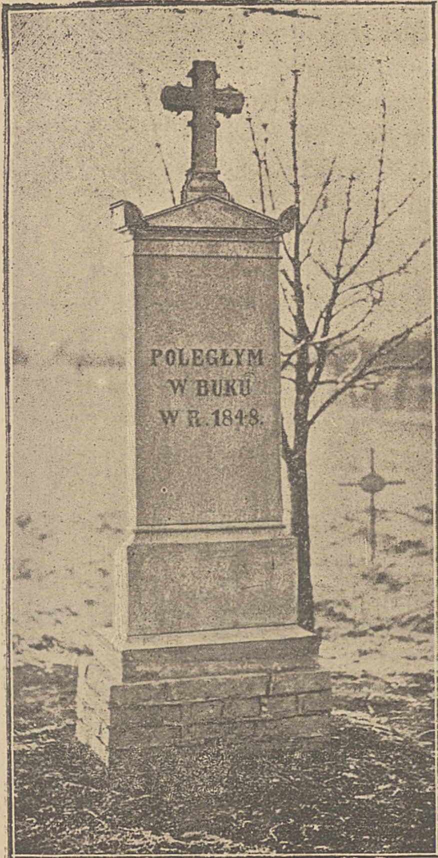
Życie jest ruchem — śmierć spokojem.

Życie wiedzie do celów, a śmierć wszystkie zamiary i cele gasi, dlatego



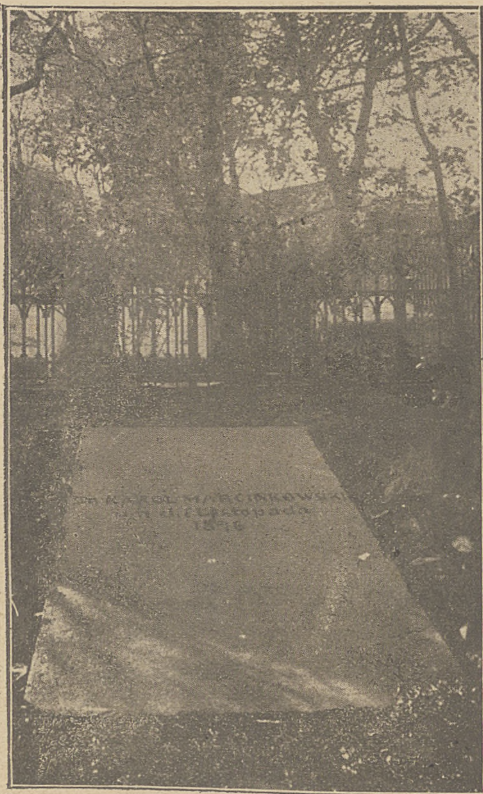
Pomnik pod wsią Sokołowem poległych w dniu 2-go maja 1848 r.

życie jest upragnieniem, a śmierci się boją ludzie i wobec jej majestatu stają przygnębieni.



Pomnik poległych w Buku w 1848 r.

Jednakże śmierć idzie krok za krokiem za naszem życiem. Każda chwila ją przybliża, a życie gasi, każdy dzień



Grób ś. p. Karola Marcinkowskiego na starym cmentarzu Śto-Marcińskim w Poznaniu.

umniejsza życia rozmiar, powiększa prawo śmierci.

A my chcemy życia i życia...

Wobec rozkazu Boga, przybliżanie śmierci jest przewiną srogą i tak obciąża ducha ludzkiego, iż ciężkie pokuty musi za to ponosić, iż śmiał pragnąć śmierci.

Życie jest zaś tak wielkiem prawem każdej jednostki, iż tylko Bóg może niem rządzić, więc wedle zasad nauki Chrystusa śmierci nie wolno używać, ani dla siebie, ani dla drugich.

Jednakże — ileż to razy życie ludzkie jest przecięte wolą złego człeka?... Ileż to razy niecna dłoń zbrodniarza i zabójcy rzuca się na życie człowieka, a wtedy prawo, sprawiedliwość i poczucie ludzkości mija się pokrzywdzone i woła o sąd, karę — śmierć za śmierć...

Taka to codzienna i powszednia kolej wydarzeń wśród istnienia ludzkości — śmierć i życie, iż mało nad nią zastanawiamy się, dopiero zaś zwykle wtedy,



Pomnik ś. p. dra Władysława Niegolewskiego w Buku.

gdy smętna jesień przyjdzie i nic już nam po roku życia nie zostaje do rozrywek, przychodzi smętny cień grobów przed oczy, przypominają się cmentarze dalekie, krzyże ciche i idziemy w to miejsce, kędy nasi spoczywają, aby modlić się, dumać i wspominać...

I znów stają przed nami dwa bieguny wielkiego przestworza, dwa kresy odległe od siebie, a przecież zawsze blizkie — życie i śmierć!...

Wspomnień arfa wylicza w piersi swej ponurej — imiona tych, których niema. Tęsknoty, szepty mówią nam o tych, którzy byli drodzy i blizcy, a ponurość ciszy nocy takiej powiada raz po raz:

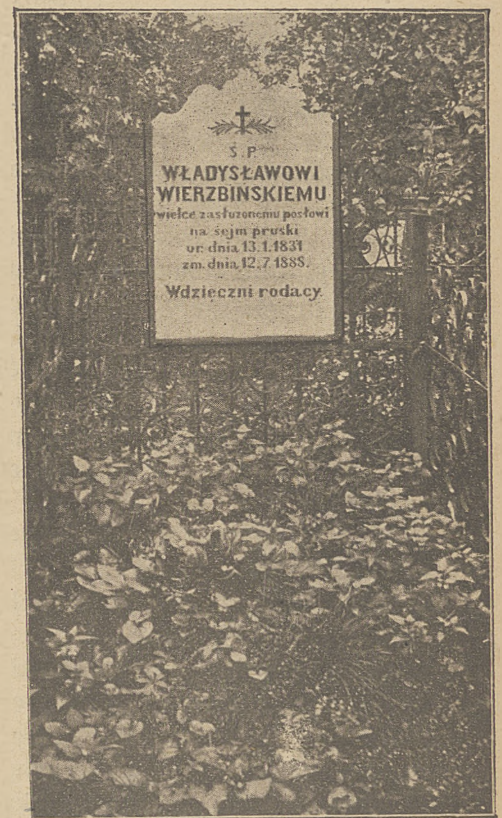
W każdym niebieskim jutrzenki rozświcie,
Kończy się życie i zaczyna życie!

Życie jest skarbem, jest szczęściem, jest prawem! Trwa krótko, może być piękniejsze i cichsze u jednych, u dru-



Grób ś. p. Kazimierza Kantaka na nowym cmentarzu Farnym w Poznaniu.

gich twarde i gorzkie. Może być jednym chwałą i sławą, drugim poniżeniem i upadkiem....



Grób ś. p. Władysława Wierzbińskiego na starym cmentarzu Śto-Marcińskim w Poznaniu.

Ale na zniweczenie jego ma tylko prawo owa śmierć, którą Bóg posyła i która przecina życia pasma....

Czemużże nam — ciągle wyrok śmierci czytają?...

Czemużże nam nie chcą przyznać praw do życia, do tego skarbu i prawa naszego?...



Grób ś. p. Hipolita Cegielskiego na starym cmentarzu Śto-Marcińskim w Poznaniu.

Dlaczego życie nas jako Polaków uznane jest za przewinę i ścigane tysiącznemi wyrokami śmierci bezlitośnej?...

Oto groby i groby w około — majestat ciszy otacza je — słychać modły o wieczny spokój dla dusz tych, które już poszły przed sąd Boga.

Przyjdźcie w tę noc strasznej potęgi na cmentarz, wy, którzy śmierci narodu pragniecie i spojrzyjcie w to ciemne niebo, zwieszone nad krzyżami mogił, i posłuchajcie też tych, którym śmierć wzięła najdroższe osoby i szukajcie w myśli mogił tych tysiące i tysiące, którym wyście umierać kazali za to, iż życia Ojczyzny chcieli.

Przyjdźcie! Powiedźcie... dlaczego śmierć niesiecie?

Życie każde splata się z rozmaitych cząstek.

Drzewo żyje, gdy korzenie mają soki, gdy konarów nikt nie łamie, gdy liści nikt nie niszczy, gdy kory nie odziera, gdy nie rąbie siekierą, nie piłuje piłą.

Roślina żyje, jeśli jej stopa jaka nie depce, jaka dłoń nie łamie, grady nie biją, posuchy nie palą.

Ich życie ma także swoje prawa.

A naród żyje, gdy ma wiarę, mowę, uczucia, myśli i czyny żywotne,

Wszystko to nam zabieracie o! wy... bezlitośni, wy, którzy nie lękacie się nazwy zabójców i nie widzicie przed sobą śmierci. A śmierć przyjdzie i was na sąd powoła i wam każe odważyć na szali sprawiedliwości grzechy i zasługi.

Daliście wyrok śmierci dawno, a wykonywanie tego wyroku dlatego trwa lat przeszło sto, iż życie narodu naszego jest stokroć potężniejsze od waszego wyroku i zamiast w wyniszczenie naszych praw do życia — zmienia istnienie nasze w męczeństwo długie i straszne.

Wiek cały wymyślacie wynalazki i zdobycze postępu na to, aby narzędzia śmierci udoskonalić.

Uzbroiliście i pomnożyliście armie wasze w ten sposób, że zdaje się cały cel istnienia waszego jest w tem, aby umieć najprędzej i najlepiej życie łamać.

Wydajecie przepisów, przestróg, nakazów i zakazów tysiące na to, aby życie niszczyć, tak życie ducha, jak serca, myśli i wiary....



Grób ś. p. Edmunda Calliera na starym cmentarzu Śto-Marcińskim w Poznaniu.

A życie jest potęgą i nie da się zdmuchnąć jak świeca, ani przeciąć jak nić, ani zdeptać jak źdźbło.

Wszystko co żyje — umiera. Ale umiera wedle woli Boga lub wtedy, gdy sił do życia zabraknie.

Pod temi mogiłami, na których dziś stają wszyscy — są martwe ciała tych, którym Bóg kazał odejść z ziemi. Czemuż tym, którzy żyją, nie każe nikt, iżby kładli się do trumny i konali dobrowolnie?

A nam — jako narodowi pełnemu wiary, uczuć, myśli, sił i praw do życia każecie ginąć i mogiłę przygotowaliście i trumny wieko postawiliście i żądacie, abyśmy się pogrzebać dali?...

Życie wiedzie i nas i was do jednego celu, życie w swoim pochodzie ściele nasze mogiły na cmentarzach i wasze tak samo, ale w miejsce każdej mogiły wzniesionej na cmentarzu wnosi się kolebka do chat i nasze życie przędzie się dalej... A czemuż wy chcecie pogrzebać nam ducha i serce i uczynić z nas ludzi bez miłości Ojczyzny i wolności?....

O! nie dziwujcie się, gdy widzicie obronę przeciw tym dążeniom... Na grobach naszych męczenników rośnie siła życia naszego, a ta powiada, iż posiew krwi i łez niewinnych jest częstokroć strasznym plonem, dla tych, którzy go rzucali. Idźcie na groby, zważcie czem życie i śmierć, ale grobu Ojczyzny naszej nie szukajcie, bo go nie ma.

Jadwiga z Z. S.



W noc cichą i smętną...

W noc cichą i smętną,
W noc tęsknej żałoby,
Gdy z słowem modlitwy
Idziemy na groby,
Pomnijmy i o tych,
Którym od nas zdala, —
Obca, ciężka ziemia
Pierś zimną przywala,
Którym gdzieś — daleko
Od ojczystej ziemi



Grób ś. p. Franciszka Dobrowolskiego na starym cmentarzu Śto-Marcińskim w Poznaniu.

Nie rzuci nikt kwiatów
Dłońmi życzliwemi.
W noc cichą i smętną,
Gdy tych wspominamy,

Którzy już odeszli,
A których kochamy,
Westchnijmy i za tych,
Co polegli w bojach
Za wiarę, za wolność
I gdzieś na rozstojach
Na polach dalekich
W mogiłach — kurhanach
Śnią o swej Ojczyzny
Niezgojonych ranach...
W noc cichą i smętną.
Westchnijmy do Boga
I za tych, co padli
Pod przemocą wroga
W Sybirskich przestrzeniach,
W więziennych grobowcach,
W lochach cytadeli,
W tułactwa manowcach
I takich jest wielu,
Co bez krzyża znaku
Grzebani — deptani
Na tym męczeństw szlaku,
Po którym się lała
Krew nasza strugami...
O! o nich wspomnijmy
Cichemi modłami!..
W noc cichą i smętną,
W noc tęsknej żałoby,
Gdy z słowem modlitwy
Idziemy na groby
Rzućmy wspomnień kwiaty
Na te obce pola,
Na które pognała,
Braci — wrogów wola,
Wygnańcom, tułaczom,
Co śpią gdzieś w oddali,
Niech się tutaj lampka
Uboga zapali,

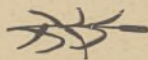


Grób ś. p. Ludwika Rzepeckiego na starym cmentarzu Sto-Marcińskim w Poznaniu.

Niechaj z polskich sosen
Woń wieńca zwitego
Przyniesie w noc smętną
Tchnienie z kraju swego —
. . . .

W noc cichą i smętną
Błagajmy też Pana,
By z grobu powstała
Ojczyzna zdeptana,
By te cmentarzysko
Nieszczęsnej niewoli
Rozbłysło już świtem
Pogodniejszej doli,
Bośmy wciąż tu smutni
I patrzym na groby — —
W noc smętną i cichą
Krajowej żałoby...

Jadwiga z Z. S.



Na mogile.

(Przedruk wzbroniony.)

Był dzień „Zaduszny." O wczesnej, rannej porze na wiejskim cmentarzu nic nie przerywało spokoju umarłych, liście z cichym szelestem spadając z drzew pożółkłych pokrywały smutnym całunem ubogie, chłopskie mogiłki.

Jedna tylko z nich różniła się od wszystkich, bo i kamień nad nią wspaniały i piękny posąg młodej kobiety w marmurze wykuty. U stóp posągu spoczywa bogaty wieniec świeżych kwiatów snać tylko co złożony, a o kratę grobowca oparty stoi w bolesnej zadumie mężczyzna w sile wieku, pięknej urody i pańskiej postawy. Kurczowo zaciśnięte usta i wzrok bolesny utkwiony w uroczą twarz posągu świadczą aż nadto wymownie, jak drogą była mu istota co pod zimną spoczywa mogiłą.

Długo stał tak, aż z ust jego wyszedł szept cichy dla niego zaledwie zrozumiały.

„O Mary... Mary czemuś mnie opuściła?"

Poczem opadł na ławeczkę i znów pogrążył się w swojej boleści. Naraz szelest liści deptanych ludzkiemi stopy wyrwał go z zamyślenia; podniósł głowę i ujrzał, że do miłego dlań grobowca zbliża się dwoje wieśniaków, starzec siwy o poczciwem obliczu opierał się na towarzyszce równej mu wiekiem o takiejże miłej i poczciwej twarzy. Dążyli wprost ku wspaniałej mogile, ukrytego za grobowcem człowieka snać nie spostrzegli, bo uklękli oboje, a pochylając ku zimnym płytom oblicza wybuchnęli rzewnym, serdecznym płaczem. „Maryś moja, słonko ty nasze, takież to nasze spotkanie?" mówił starzec i wyciągnął ramiona do marmurowej postaci, gdyby do żywej istoty.

„Stokrotko moja, różyczko, a na to ja ciebie wykarmiła, by cię oto w zimną złożono mogiłę?..."

— Cicho stara... cicho mówił starzec i tulił do piersi siwą głowę kobiety... wola Boska... jeno ta nam pociecha, że dziecko nie umierało, że żyło w dostatku, w szczęściu i teraz po śmierci



Grób ś. p. dra Maksymiliana Kanteckiego na starym cmentarzu Sto-Marcińskim w Poznaniu.

bogactwo je otacza i pamięć ludzka. Tyle lat... tyle lat żyłam na świecie biadała kobieta, alem nie widziała jej jako wyrastała, alem nie znała tej mojej jedynej.

— Wola Boska, wola taka była pańska, a i nasza zgoda, nie szemraj kobieto jeno się módl do niej jako do Anioła o śmierć spokojną dla nas, o wieczne zbawienie dla grzesznej duszy. — Powoli uspokoili się oboje starzy, otarli łzy, powstali z klęczek, a potem w niemem uwielbieniu patrzeli w piękny posąg grobowca.

Człowiek siedzący na ławce słuchał najpierw ze zdumieniem, potem z dziwnem wzruszeniem zbliżył się do starców, pozdrowił i zapytał, czemu taką boleścią przejął ich grobowiec bogatej pani.

Oni snać przestraszeni ukazaniem się tak nagłem obcego pana zamilkli i trwożnie spoglądali jedno na drugie.

— Powiedźcie mi, dobrzy ludzie, kto wy i co was wiąże ze wspomnieniem tej zmarłej?

— To pan chyba nie tutejszy? — ozwie się kobieta.

— Nie... nie, dobra matko, jam przejezdny, a że to dzień „Zaduszny" przyszedłem pacierz zmówić za dusze zmarłe.

— Bo to widzi pan smutne były dzieje, a że przysięgę rozwiązała śmierć, posłuchaj pan, jeśli wola, opowiem — ozwie się poważnie starzec. — Przed laty w owej wsi, co ją pan widzisz ze wzgórka, dziedziczką była wielka pani, wdowa i bezdzietna, mieszkała we wspaniałym

pałacu, a w chacie, ot tam na końcu wsi, żyło dwoje biednych zagrodników, jeno, że prócz kochania nie było szczęścia w chałupie, to byliśmy ja i ot ta moja Magdusia. Głód tedy nastał we wsi straszny, wymarło nam już z onej nędzy troje dziatek, ostała tylko kruszyna jedna, co miała roczek, a zwała się Maryś. Pani z pałacu dobra była, i co sił pomagała ludkowi swemu, ale nie mogła nakarmić i utulić tyle narodu, to też jak się we wsi pokazali obcy ludzie i poczęli namawiać lud na wędrówkę do Ameryki, szło narodu jak mrowia za nimi i odjeżdżali za chlebem, za lepszą dolą. Mnie i Magduś moją też namówili, ale jakże tu iść w świat z małą chorą dzieciną? Poszliśmy po radę do dworu, pani dziecko zaraz do serca przypadło i nuż prosić, by my jej Maryś oddali za córkę; prawiła długo, że dziecko w drodze zamrze, a tak w staraniu żyć może i wyrastać w dostatku. Jeno nam tem boleść sprawiła, że dziecka się już na zawsze wyrzec kazała, jako że mu chciała nazwisko swoje, honor i bogactwo przepisać. Cóż było robić dla szczęścia dziecka, złożyliśmy pani przysięgę, ona nam dała zapomogę na drogę i tak została Maryś w hrabskim dworze, a my tuląc ból serca poszli w dalekie kraje sieroty, jeno z pociechą w duszy, że dziecko panią będzie i nie zginie z głodu.

Wędrowali my tak długie lata i ciężko pracowali, a dolę różną mieli, wracać nie było poco i dla kogo, aż ku łońskiego roku krewniak jeden z tej wsi przywędrował do osady w Ameryce, kędy my przebywali i dziwy nam opowiadał radosne, a bolesne razem. Maryś nasza, z pańska Mary przezwana i przez panią za córkę przyjęta, wyrosła jako kwiat, ale i jako kwiat uwiędła.

Pojął ją za żonę lat temu z dziesięć pan wielki i zacny, ale i on nie cieszył się długo szczęściem, zmarła Maryś nasza i poszła za swoją przybraną matką w mogiłę.

Żałość nie dała nam dłużej pozostać między obcymi, dostatku przybyło, sprzedaliśmy wszystko i wrócili, aby choć wypłakać się na grobie dziecka i zamrzeć na swojej „świętej ziemi." Taka to nasza opowieść, dobry panie, śmierć rozwiązała przysięgę. Teraz na sercu lżej, gdy się mogłem użalić, pan obcy, pójdzie w świat to i zapomnisz o tem coś tu usłyszał.

— Oh, nie.. nie zapomnę — zawoła dziwnym głosem obcy wędrowiec — kochać was będę i szanować, bom ja mąż tej, co wam tak drogą była.

Prawda mówi przez usta wasze choć jam o niej nie wiedział, wierzę wam, za was świadczą łzy serdeczne i poczciwe twarze. Możecie być dumni z waszego dziecka. Maryś była zacną dziewczyną i dobrą żoną, kochałem ją nad życie, więc i wy jesteście mi drodzy.

Starzy padli do nóg pana, on ich podjął i ze czcią ucałował ich spracowane dłonie. Stali tak złączeni w uścisku możny pan i dwoje chłopków, a nad nimi unosił się duch tej, co choć wyszła z pod słomianej strzechy, godną była spocząć w bogatej pańskiej mogile.

S. Zejdowska.



Cmentarz wiejski.



Nad grobami.

Płoną światła — cały cmentarz drży
Od ognistych języków migotań...
Płyną szepty, płyną ciche łzy,
Bez skarg głośnych i rozpacznych miotań,
Niech umarli w grobach swoich śnią,
Śpią bez końca, bez pamięci śpią!...

Bez pamięci?... A gdy straszny loch
Może mary wypełniają tłumnie,
Sny wczorajsze?... A gdy myśli — proch
I te mary kołaczą się w trumnie,
Przygniecione tysiącami brył
Ziemi... gruzu — rozpacznie... bez sił?...

A gdy pamięć o tęczowych snach
W rozsypanych, białych pyłach żyje,
I kołysze się w zamarzłych mgłach,
I lodowe mgły onej — łzy pije,
I żal w grobu przesącza się cieśń,
Że uwiędły róże, zmilkła pieśń?

I pozostał tej pamięci snop
O rozbiciu wszystkich wiar w słoneczność,
O polotach w gwiazd zapadły strop...
I pozostał tak — na całą wieczność?...
Jeśli marzy, jeśli myśli trup:
Gdy jest Piekło — to piekłem jest grób! —

Czuję grozę, nędzę ludzkich żyć,
W Madejowe śmierci patrząc łoże —
Może nie być tak, a może być!...
„Może" wszędzie, niezgłębione „może!"
I rzuconych pytań martwa moc,
Twierdzeń chwiejność, odpowiedzi — noc!

Zkąd przyszedłem?... w mej pamięci mrok,
Bez mej woli stanąłem na ziemi.
Wrota grobu wstrzymają mój krok,
Lecz co dalej, za wrotami temi?
Nocą — życia początek i kres,
Krótka droga tylko krwi i łez!

Gdyby — żyjąc — jeden piersi dech
Tchnął swobodą w błękitność powietrza,
Jeden okrzyk szczęścia, jeden śmiech,
Dzien był jeden, w którym twarz mniej bledsza
W gwiazd spojrzała kryształową głąb,
Później... świata zawalił się zrąb:

Sen o szczęściu, krótki, złoty sen
Zimne grobu rozpędziłby cienie —
I jasnością stałby się grób ten,
Gdzieby ciche wpłynęło marzenie,
Roztrącając nieuchwytnym tchem
Białe pyły... ciszą będąc — snem.

Szedłbym wtedy za cmentarny próg
Z innem sercem, niż dzisiaj tam wchodzę,
Nie tak ostro ubódłby mnie głóg,
Smutnych grobów mniejbym miał na drodze:
Zieleń — kwiaty – z marmuru kolumna,
A pod niemi pełna marzeń — trumna.

Kazimierz Gliński.





Salve Regina!

(Wspomnienie.)

I.

...Jak smutno...

...Tak cicho, lękliwie biją te dzwony, serc ich odgłosy spokojnym strumieniem wlewają się w dusze ludzi, a z sobą niosą tęsknotę trwożliwą i nikłą rozpacz — i dusza ludzka pada bezwiednie na kolana i szemrze bezwiednie ku Niebiosów Królowej:

Salve Regina!...

. . . .

Zaduszki.

...Jak smętnie powiewa ten wicher, jak smętnie ustraja się niebiosów strop, jak smętnie budzi się natura w Duchów dzień...

I śpieszą starzy, i śpieszą młodzi — i śpieszą ojcowie i śpieszą matki — i śpieszą córy i śpieszą synowie — i śpieszą radośni, i śpieszą zasmuceni — i śpieszą uciążeni, i śpieszą swobodni — wszyscy śpieszą na cmentarz hołd oddać duchom umarłych — —

— A cmentarz łuną świateł migoce, tylu odbłyskami świec i lamp drga i rozświeca duchom drogę, kędy chadzali i kędy iść mają, by złożyć Niebiosów Królowej:

Salve Regina!

. . . .

A w duszy kryje się wspomnienie bolesne, skrwawi serce, bólem duszę ściśnie, a na twarzy wyrodzi nagą, niemą powagę...

...Wspomnienie?...

...Nigdym tak smętnych zaduszek nie miał, jak wtedy — o dawno, bardzo dawno. Niebo przybrało wyraz boleści i zasłało się kirowemi szaty, ziemia z boleści pozrzucała swe okrycie, drzewa chyliły się bolejące, nagie — ciemność jakaś zadumana okryła świat — a wicher wygrywał dziwnie smętną, dziwnie melancholijną pieśń żałoby, tylko cmentarz, tylko ten jeden cmentarz nie łączył się w boleści i rojem świateł lśnił i święcił swe święto, — — kiedym z żałobną drużyną na odpoczynek wieczny odprowadzał towarzysza — bolesny, drżący z trwogi, modlący się w głębiach ducha do Niebios Królowej:

Salve Regina!...

. . . .

O, pamiętam go dobrze, dobrze pamiętam.

Średniego wzrostu, blondyn, twarz miał dziwną. Rozwichrzona, jasna czupryna, wiecznie w bezdroża błądzące oczy, orli nos, cała twarz chuda — był chorowitym od maleńkości — pociągła miała wyraz niby lęk zawierający lub wypowiadający obawę — wyraz jakiejś niemej skargi — — —

Nazywał się Antek, u nas, w koleżeńskim języku, — ten Antek, „mały Antek" — o znaliśmy się oddawna.

...Dorastałem wówczas, miałem może szesnastą życia wiosnę. Prosił mnie raz kolega, z którym bardzośmy się lubieli, do siebie na wieczór, ale zaznaczył, bym się z tem przed nikim nie wygadał. Zaciekawiło mię to bardzo i umysł mój ciągle pracował, aby odgadnąć tajemnicę, ten gordyjski rozwiązać węzeł.

Nadszedł upragniony dzień, ten dzień, który był przełomem w mem życiu. Wiosna rodziła się w naturze — w mem życiu wiosna — młodość. Dzień piękny, majowy — majowy, piękny wieczór...

Z trwożliwem sercem wstąpiłem w progi mieszkania kolegi. Nieśmiało zapukałem... pocisnąłem za klamkę... — wszedłem... Za stołem, na którym plik papierów leżał, siedziało kilku znajomych i nieznanych kilku. Zmieszałem się, nie wiedziałem, co począć. Kolega mój przystąpił do mnie, ujął za rękę, podprowadził ku zgromadzonym i im przedstawił. Minęliśmy kilku — przystąpiliśmy do Antka. On powstał ku mnie, wyciągnął drobną rękę i rzekł:

— Witaj kolego! spodziewam się, że poznamy się bliżej.

Wziął pod ramię, a widząc, żem zdziwiony i zmieszany, posadził obok siebie i wszczął rozmowę.

O Antku z innych ust słyszałem, że nieprzystępny, dumny — teraz atolim się przekonał, że pozory często łudzą, że ten Antek — to chłop, coby pół duszy oddał, gdyby mógł. Siedzieliśmy obaj na kanapie dość długo, on mówił ciągle do mnie, rzadko kiedy rzucając pytania. Wybadał naprzód me usposobienie, następnie począł prawić o młodzieży, jej celach, jej powołaniu, jej stosunku do innych warstw — a słuchałem tego po raz pierwszy w życiu, po raz pierwszy otwierały się me oczy, uczuwałem jakąś niechęć do siebie, gdym tych słów słuchał, gdyby słowa Bożego

Już mrok zapadał, gdyśmy się z kanapy podnieśli: jakbym z letargu się obudził, przetarłem oczy i wylękniony wodziłem po pokoju. Było tu już więcej osób — poznawałem to dobrze po większym ruchu i głosach liczniejszych; Antek napomknął, by lampę zaświecić: w mig wykonano życzenie. Teraz około stołu zgrupowali się koledzy — mnie posadzili niedaleko lampy, stojącej na środku stołu, podczas gdy Antek usadowił się na końcu.

Gwar jakiś i pomruk szedł po całem zebraniu, pomruk radości i zadowolenia gwar. Naraz wstał Antek — uciszyło się. Zdziwiło mnie to niepomiernie i zaintrygowało. Spojrzałem po zebranych: na twarzach ich malował się nagi spokój i powaga głęboka, oczy wszystkich ku Antkowi się zwróciły. On tymczasem zaczął mówić.

Do uszu mych wpadały wyrazy nieznane dla mnie: społeczność, publicystyka, samokształcenie, ozganizacya — głucho o ściany mych uszu się odbijały i tonęły w głębokościach toni...

Nie wielem rozumiał, bom nie wiele słuchał.

Ale sam Antek począł mnie zajmować. Ten wątły, mały Antek przeradzać jął się we wielkego Antka — ten mały, nikły chłopak — w olbrzyma. Im dłużej mówił, tem goręciej się zapalał: oczy te blade zdawały się świdrować w przestrzeni, wirowały po wszystkich kątach, w ciemności czegoś szukały, a ten głos, głos, co wielką siłą z piersi buchał, napełniał cały pokój, przestrzeń całą ogarniał...

...I bezmyślnie wpatrywałem się w tego dziwaka, jak mi się zdawało, przeszywałem oczyma mówiącego — gdy nagle on w zapale zwrócił się ku mnie, zdawało mi się, że wpił się we mnie, jak wampir, błyszczącym swym wzrokiem i dobitnie coś akcentował.

Ogarnęła mnie jakaś wstydliwość, wstydliwość, co wyrzucała mi moją nieuwagę i wypiekała swymi promieńmi róże na policzkach —

Objęła mnie jakaś żałość, żałość dzika w swe ramiona i za lekkomyślność mą w przepaść pogrążyć chciała —

Owładnęła mną jakaś tęsknota, tęsknota głucha za tem, co minęło, czegom był świadkiem, com zniszczył marnie —

Zrodziła się jakaś złość, złość bezduszna na siebie samego za znikomość mą — —

— I postanowiłem podwójnie to powetować, poskromić swe nerwy, wsłuchać w dźwięk i mowy Antka...

On mówił ciągle:

„— Wychodząc z krainy marzeń znikomych, ułudnych złudzeń — w ponurą rzeczywistość, w prawdę życia twardą

wkraczamy, aby na tej nowej, przed nami rozwartej drodze — paść lub zwyciężyć.

„Goniąc za nienasyconemi życzeniami, pragnieniami nieugaszonemi, padniem — zwyciężym, idąc za głosem serca, krocząc po szlakach Prawdy, Miłości i Ideału.

„Prawdą, Miłością, Ideałem obejmiem ludzkość od końca do końca, wweźrem się w jej istotę, staniem wśród niej nie jako synowie nadzy, marnotrawni — lecz, jako wytrawni jej następcy, obejmiem w niej prądy i zwyciężym!...“

I szedł dalej tym szlakiem, roztaczał przed nami nieznane kręgi światów nieznanych, nieznane pojęcia istot nieznanych, nieznane pierwiastki jestestw nieznanych...

I padały te słowa, gdyby krople balsamicznej rosy, woni orzeźwiającej, czułem me odrodzenie — — — a Antek mówił i mówił...

...I roztaczał przed nami ten padół nędzy, tę boleść, ten upadek — budził współczucie, budził iskry uczucia narodowego. Szły jego słowa miękkie — a lekkie, zaskrzepłe krwią — a bólem przesiąkłe, szorstkie — a prawdziwe te jego słowa; — budziły z uśpienia tę grozę Ojczyzny, Jej niedolę, upadek Jej, Jej położenie, dzieci Jej, Jej dzieci...

A nam przypominały tę prawdę, żeśmy synami wydziedziczonej, splugawionej, zgwałconej Matki — a czynił nam wyrzuty, że tej prawdy tak często zapominamy...

— „Zginęła!“ — zawołali wrogowie Jej i Jej ciało rzucili w lochy podziemne, powiesili, naigrawali się z Niej. Ale Duch Jej nie zginął, Ona zmartwychwstanie, bo zmartwychwstać musi...

I kiedy oni podnoszą hasło: „poległa;“ kiedy głos sumienia rykiem swym zagłuszyć chcą, wołając „nie żyje;“ kiedy Jej synów wrzucają do więzień lub na szubienicach wieszają —

„wtedy to od tajg sybirskich posaharski skwar rozlega się głos, to my protestujem, z pełnych piersi zagrzani wiarą, nadzieją ożywieni wołamy:

„Jeszcze nie zginęła!“ . . . . .

. . . Urwał, skończył — a inni podchwycili te słowa i z piersi popłynął ostrym pędem strumień wiary i nadziei — i pieśń rozległa się w koło, szybując po dalach przestworza.

I przebrzmiała w przestworzu przecudna pieśń, przecudna pieśń — bolesnem drgnieniem rozlata się po falach eteru, błędna, samotna pieśń — — a zmienne akordy wszczęły nowy hymn przy wtórze strasznych skarg, jęków ostatnich...

Poważny hymn niewolników, kajdanami wstrząsających napełnił powietrze, łączył atomy powietrza i szedł w bezkresną dal... odbijał się o horyzont, a choćby Bóg niechciał go usłyszeć, musiałyby dolecieć te dźwięki smętnej, melancholijnej pieśni, silnej niewolników pieśni:

. . . .

do Ciebie Panie, bije ten głos:
skarga to straszna, jęk to ostatni,
od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
sterczy ku Tobie błagalna dłoń!...

Skończyliśmy — — — a pieśń szła w dal i w dal i w dal... i napawaliśmy się melodyą pieśni, gasnącymi dźwiękami błagalnej pieśni, która ponad ziemię rozniosła hymn boleści, od mórz dalekich się odbiła i szła, konając do progów niebios...

. . . .

...Ten wieczór stworzył kryzys w mem życiu. Zadumany, zasłuchany w muzykę nocnej ciszy, gwar natury i nie biosów melodyę, wolnym krokiem wchodziłem w dom — a przede mną stawały duchy sławnych — otulone mgłą boleści nadchodziły ku mnie i mnie, przed nimi klęczącego, błogosławiły...

Od tego czasu wszedłem w organizacyę, której duszą był Antek, a tem samem widywałem się z nim często. I analizowałem tego chłopaka, który tak dźwięcznie na strunach mej duszy zagrać potrafił; poznawałem, że miłość wielka bliźniego napełniała Antka, dla każdego był usłużnym, każdemu użyczał pomocy, a śpieszył pierwszy zawsze ku tym, którzy się jej wstydzili wzywać. Wypełniając swoje prace obowiązkowe, wypełniał i organizacyjne, na wszystko znalazł czas i siłę, mógł wszystko uczynić, słowem był wzorem niedoścignionym dla innych.

A my ze swej strony uznawaliśmy niższość naszą w porównaniu z Antkiem, czciliśmy go i szanowali, wypełniali jego polecenia, obowiązki swoje, w kwestyach wątpliwych udawali się doń, bośmy wiedzieli, że on je bezstronnie osądzi — i żyliśmy między sobą, jak wielka jedna rodzina życiem spokojnem, cichem, pracowitem.

II.

Tak minęło dużo czasu w tej duchowej rodzinie.

Praca organizacyjna szła wyśmienicie i niebawem zaczęła wydawać owoce — z nastaniem lata szliśmy z książką pod pachą do chat wieśniaczych, niosąc braciom-włościanom wiarę, nadzieję, miłość — karmiąc ich strawą narodową, budząc w nich miłość Ojczyzny...

Regularnem tempem upływało nasze życie. Słuchaliśmy Antka, w lot chwytaliśmy i urzeczywistnialiśmy jego myśli, nie zawodziliśmy go nigdy, bo też i on nas nigdy nie zawodził.

Aż nadeszły inne czasy.

Pamiętam dobrze, było to w kwietniu, jakoś pod Wielką Noc. Ponieważ rozjeżdżaliśmy się na święta, trzeba było się naradzić nad tym czasem, jaki przepędzić mieliśmy oddzieleni od siebie. Mieliśmy się zejść u tego kolegi, u którego gom się z Antkiem poznał, zejść o szóstej wieczorem. Rzeczywiście, jak miało nas być sześciu — wszyscyśmy przyszli, jedynie Antka brakowało. Czekamy kwadrans, półgodziny — niema... Gubiliśmy się w domysłach, coby mogło przeszkodzić jemu, który zawsze najpunktualniejszy się stawiał

Jeden z kolegów napomknął:

— Znalazłem przejście między Scyllą a Charybdą: wczoraj, we środę przyjechała trupa aktorska, która ma po Wielkanocy dać kilka przedstawień. Wśród aktorów znalazł się jeden znajomy Antka, widziałem, jak się witali — i widocznie zatrzymał go gdzieśta...

— Koszałki, opałki! — wtrącił któryś — Antka miałby kto przed zebraniem zatrzymać!

— Ano to może miłostka jaka. Jest w tej trupie artystka — Lina, jeśli się nie mylę. — Krucze włosy, oczy czarne, bieluchna cera, uśmiech błyskotliwy, miękki głos, pierś ponętna, zgrabna nóżka, możliwe, że się zawieruszył.

Otoś się wyrwał, jak podkomorzanka w konkury.

— A może?

Naraz wpadł zdyszany Antek. Uśmiech tlił się w wklęsłościach ust, w oczach błyskał żar, radością drgał cały — nie było znać na nim tej powagi, godności chwili, z jaką otwierał zebranie lub je zagajał.

— Przepraszam was, koledzy niema już dziś czasu na zebranie, ale zejdźcie się w interesie sprawy w sobotę „w lasku nad rzeczką“ popołudniu, tam sobie pogawędzim — mówił szybko.

Słowo było dla nas wyrokiem, zabraliśmy się do domów. Idąc z Antkiem, usłyszałem z jego ust wymówki, skierowane ku mnie i ku innym kolegom. Pierwszy raz się to zdarzyło. Antek nigdy tego nie robił, co najwyżej popatrzył się swym przenikliwym wzrokiem lub bardzo pobieżnie wypominał.

— Widocznie coś ważnego dla Antka zaszło — pomyślałem — zresztą zobaczymy.

Nadeszła sobota, poprzedzona ulewą we czwartek i piątek. Posłuszni wezwaniu, stawiliśmy się o drugiej w „lasku nad rzeczką.“ Mokro było pod nogami, na liściach ironicznie, drwiąco dźwięczał deszcz, wilgoć w powietrzu. Mimo to czekaliśmy do piątej — Antek nie przyszedł. W końcu rozeszliśmy się bez żadnego planu — po raz pierwszy

z goryczą na sercu, na ustach z wyrzutem.

Wszyscy, wyjąwszy mnie, zaraz po nieudałem zgromadzeniu się rozjechali, ja poszedłem na rezurekcyę. Przy procesyi patrzę, czy mnie oczy zawodzą, lecz nie, z pewnością widzę Antka, naszego „małego Antka“, jak przeszedł z jakąś urodną panną popod ręce.

Może się mylę? — Wróciłem do domu, a nazajutrz, zabrawszy graty, pojechałem do rodziców.

W tydzień byłem z powrotem i co za dziwo! — zastaję na mem biórku bilet, ołówkiem skreślony, pismem bardzo szybkiem, podobnem do Antka, otwieram, czytam raz, drugi, nie, niemożliwe, a jednak... jak wyraźne:

„Kochany kolego!
Muszę Was opuścić dla ważnych spraw, dla mnie nadspodziewanych. Ułóżcie się bezemnie. Pomyślności w pracy życzy
Antek.“

A więc pojechał, znikł jak kamfora, nie napisał co go do tego zmusza, nie wspomniał, dlaczego nie był w sobotę nic, literalnie nic!...

Zostałem ja i wszyscy moi koledzy opuszczeni. Pierwszy raz zaszedł ten wypadek, żeśmy zostali bez głowy, zapanowała między nami res publica, która źle mogła się skończyć wobec silnie rozgałęzionej organizacyi. Musieliśmy postępować raźnie i pewnie. Wybraliśmy kierownika, który godnie zastąpił Antka i wszystko szło jak dawniej: sprężyście a normalnie — a po Antku została tylko — wdzięczność...

...I tak minęła wiosna, upały minęły, nadchodziła jesień, głucha jesień. A te dni wrześniowe lśniły się w promieniach jesiennych; okryte jasną oponą pajęczyn białych czekały z rezygnacyą bezprzestrzenną tego czasu, któryby je otulił gwiaździstym puchem i zagrzebał w przestrzeniach czasu, czekały z rezygnacyą swej śmierci ciche, na swój los przygotowane.

Pamiętam było to 13-go września (a trzynastka to mój szczęśliwy dzień). Po południu mieliśmy się zebrać w „lasku nad rzeczką“, tak dla nas pamiętnym. Właśniem wyszedł z domu, idę szybko ulicą, gdy nagle ktoś mnie chwycił za ramię i zawołał głośno:

— Jak się masz, kolego?

Zdziwiony, obracam się, patrzę: Antek, mały Antek.

Chociaż na ulicy, cmoknęliśmy się po gębach, że odgłos rozległ się i poszliśmy chwilę. Antek przyjechał napowrót i chciał się koniecznie ze mną w cztery oczy rozmówić. Odmówiłem mu jednak, prosiłem na wieczór, zgodził się. Gdym o tem wspomniał, koledzy zdziwili się, lecz wyrazili się, że Antek wyszumiał i został dawnym, małym Antkiem.

Jakże dziwne uczucie budziło się w nas, gdyśmy wieczorem usiedli na kanapie i zapaliwszy papierosa, tumanami dymu się otuliwszy, bawili się rozmową. Byliśmy jak dawniej przyjaciółmi, a mimo to dzieliła nas głębia bezdenna, bezdenna przepaść. Ten nagły zwrot Antka był osią, około którego błędne koło wirowało, a ku któremu baliśmy się zbliżać, by w nie nie wpaść...

Ta atmosfera stawała się nieznośną, nie mogliśmy żyć wśród niej, nią się dusiliśmy — gdy Antek począł budować most nad temi głębiami i przez głąb przeszedł. — Pierwszy zaczął:

— Zdziwi cię zapewne moje nagłe wstrząśnienie: usunięcie się moje, mój wyjazd, nieobecność moja — mój przyjazd, lecz zaraz ci wytłomaczę.

— Pamiętasz mieliśmy mieć zebranie we środę czy czwartek przed Wielkanocą — spóźniłem się, mieliśmy się powtórnie zebrać w sobotę — nie przyszedłem, a potem znikłem... Oto we wtorek dostałem od matki wiadomość, abym przyjeżdżał. Rzeczywiściem się zbierał, zatrzymałem się do środy i to było dla mnie nieszczęściem. Wtedy przyjechała trupa aktorska, no i — volens, nolens, poznałem się z aktorką, panną Liną. Otumaniłem się zupełnie. Prawda, była przystojna. Zapomniałem przez nią o rozkazie matki i, wpatrując się w jej czarne jak rozpacz oczy lub całując rumiane usta, siedziałem przy Lince. Od niej się dowiedziałem, że jest sierotą, ma lat ośmnaście, że się jej sprzykrzyło aktorskie życie i wracać chce do domu. A miała dar oratorski, w tak ciemnych obrazach siebie i swe położenie przedstawiała, żem litował się nad nią, odurzał się jeszcze bardziej, zapominał o świecie bożym. Zerwała kontrakt z dyrektorem trupy i miała ze mną wracać do domu, do opiekuna, który mieszkał opodal Ostendy. Mieliśmy wybrać się oboje: ona do rodziny opiekuna, ja do kąpiel. Naraz w niedzielę dostaję telegram, że matka ciężko chora. Pożegnałem się z Linką, dałem jej, ilem mógł pieniędzy, by jechała do Ostendy, a ja do niej napiszę, albo też, gdy matce będzie lepiej, przyjadę. Bezzwłocznie ruszyłem w drogę do matki, lecz, gdym wysiadł na końcowej stacyi, dano mi znać, że matka umarła.

I wpadłem w ekstazę tęsknoty, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. W tydzień po pogrzebie dostaję od Linki list, że tęskni za mną i wzywa, bym do Ostendy przyjechał. Ta Lina, och jaka ona! Wiecznie widziałem jej kibić kształtną, falującą pierś i usta różowe, złożone do pocałunku. Żal mi się jej zrobiło i żal przezwyciężył ból po matce. Załatwiłem się z kwestyami finansowemi i, wziąwszy nieco grosiwa, pojechałem do Liny. Co za radość, gdym ją zobaczył, tę moją, miłą Linkę!

Ulokowałem się w Ostendzie, w pobliżu opiekunów Liny i u nich, w jedynym domu w Ostendzie zacząłem bywać. Z opiekunem bardzośmy się lubieli, który nawiasem mówiąc, rad był po części, że ja, niezbyt ubogi, zaczynałem się koło Linki kręcić. Miał on bardzo wiele zajęcia, był gościem w domu. Tedy my, „ciocia“, jak Lina opiekunkę nazywała — Lina i ja chodziliśmy na spacer, nad morze najczęściej — lub zostawaliśmy w domu i, w półcieniu usiadłszy, gawędziliśmy.

Z mych „młodych“ marzeń — próżnia została, społeczne obowiązki — frazesami czczemi się wydawały, ze społecznika — wielbicielem mej ukochanej się stałem i całe szczęście widziałem — w Lince.

I śniliśmy oboje jakieś sny, marzenia, przed nami rozwierały się nieznane światy miłości; żyliśmy sobą i dla siebie, i tak nam dobrze było; lub czytywaliśmy poezye; Linka lubiała szczególnie Berwińskiego co,

„raz wsiadłszy jak Eliasz w rydwan namiętności,
chciał ogniem namiętności żywcem wejść do [Nieba.“

Oparci o siebie, otuleni marzeniami, wczytywaliśmy się w te poezye, piliśmy ich treść, wsłuchiwaliśmy się w dźwięk ich rytmów. I to nas zgubiło. Chcieliśmy dalej płynąć tem korytem namiętnej miłości, chcieliśmy się poić czarem nocy jasnych nad morzem, chcieliśmy żyć życiem morza i natury. I żyliśmy bez troski i umartwień, o radości i rozkoszy...

Aż naraz...

...Był to koniec lipca. Do Ostendy nadjechał dandys pewien z Paryża i począł uwagę zwracać na Linkę, poznał ją, raz nawet zbyt poufale z nią rozmawiał. Postanowiłem na drugi dzień żądać od niego wyjaśnień. Jakież ogarnęło mnie zdziwienie, kiedy mi oznajmiono, że panna Lina opuściła tej nocy z owym nieznajomym Ostendę — dokąd się udali, nie wiedzieć.

A więc moja Linka, mnie się sprzeniewierzyła i pojechała na krańce świata szukać szczęścia z tym dandysem ?! Co za smutna rzeczywistość !

Nie chciałem w prawdę uwierzyć. Kląłem siebie, Linę, Ostendę, wszystko ; płakałem histerycznie z bólu za nią i w dzikich orgiach chciałem tęsknotę zagłuszyć.

Dopiero z tych błędnych kół wyrwało mnie wezwanie zarządzcy dóbr, który się do mnie odnosił w sprawach spadkowych. Natychmiast, zwłaszcza że Ostenda ku sobie mię nie przyciągała, wróciłem do posiadłości i, uporządko-

wawszy kwestye spadkowe, przybywam do was, jako syn marnotrawny, prosząc o przebaczenie i o najlichszą przynajmniej ducha strawę, którą dopiero teraz nauczyłem się cenić. Udaję się zatem do ciebie i proszę, byś był tak łaskaw i pomówił z kolegami, czyby nazad nie wzięto mnie do organizacyi, choćby do najcięższych prac.“ — —

......Kiedy skończył Antek, rzuciliśmy się w ramiona i w tym uścisku zostawaliśmy długo, złączeni wielką ideą......

III.

Więc Antek się przebudził...

Na najbliższem zebraniu podniosłem to, stanąłem w obronie Antka i przyjęto go nazad do organizacyi.

I organizacya żyć na nowo poczęła tem życiem, jakiem żyła za dawnych czasów, a Antek aczkolwiek nie był jej kierownikiem, jednak moralnie nią kierował. Był najczynniejszym, uczestniczył na wszystkichzgromadzeniach, strojny powagą i doniosłością chwili, wygotowywał mnóztwo prac, organizował nowe kółka. A ilekroć razy przemawiał, unosił się tak dalece i tak dalece grał na nerwach, że słuchacze wzruszeni ocierali łzy. Potrafił w swych mowach taką grozę hulaszczego życia przedstawić, że od niego wszystkich odciągał. Przedstawiał w tak czarnych barwach, subtelnie utkanych, nieszczęśliwe położenie nasze, iż serce żalem bólu łkało — a jednocześnie te rany goił nadzieją lepszej doli i czasów lepszych.

Ale nadmierna praca i działalność wyczerpały i tak słabe siły żywotne małego Antka. A do tego dołączała się i druga przyczyna: oto był atawistynym suchotnikiem, a dzięki Lince i Ostendzie niehamowana choroba piersiowa wzmogła się tak, iż musiała prędzej czy później spowodować katastrofę...

I począł upadać ze sił; doktorzy nic mu nie pomagali, bo już byo za późno a myśmy musieli czekać ostatnich Antka chwil. W październiku się położył, i odtąd raz było lepiej, raz gorzej, aż w dzień przed Wszystkimi Świętymi skonał...

...A jako chyli się słońce ku zachodowi, ostatnimi lśni promieńmi i w końcu strudzoną swą głowę w ziemi łono chowa — — tak zbliżał się Antek ku krainie śmierci, ostatniemi przebłyskiwał przytomności chwilami i wreszcie do snu się ułożył.....

Któż zdoła opisać żal, jaki ścisnął nam serca na widok śmierci kierownika życia i przyjaciela?...

. . . .

Pogrzeb... zaduszki.

...Jak smętnie powiewa ten wicher, jak smętnie ustraja się niebiosów strop, jak smętnie budzi się natura w duchów dzień...

I śpieszą starzy i śpieszą młodzi — i śpieszą ojcowie i śpieszą matki — i śpieszą córy i śpieszą synowie — i śpieszą radośni i śpieszą zasmuceni — i śpieszą uciążeni i śpieszą swobodni — wszyscy śpieszą na cmentarz ten hołd oddać duchom umarłych i duchowi zmarłego...

A niebo przybrało wyraz boleści i zasłało się kirowemi szaty, ziemia z boleści pozrzucała swe okrycie, drzewa chyliły się bolejące, nagie — ciemność jakaś zadumana okryła świat — a wicher wygrywał dziwnie smętną, dziwnie melancholijną pieśń żałoby, tylko ten cmentarz, tylko ten jeden cmentarz nie łączył się w boleści i rojem świateł lśnił i święcił swe święto, — — kiedym z żałobną drużyną na odpoczynek wieczny odprowadzał towarzysza — bolesny, drżący z trwogi, modlący się w głębiach ducha do Niebiosów Królowej:

SALVE REGINA!

..............Już weszli na cmentarz, nad grobem stanęli półkolem, a ksiądz odmawia półgłosem modlitwy, a serca zebranych rytmiczną boleścią uderzają. Oczy wszystkich idą ku trumnie — takie ciche, takie smutne...

Ruch jakiś przy trumnie. Oto miejsce obok trumny zmarłego zajmuje delegat młodzieży i koledze rzuca kilka pogrzebnych słów.

Z ust mówiącego padają słowa, a wiatr je chwyta i niesie ku uszom słuchaczy i przez łzy boleści lśnią w oczach...

Jakiś odgłos martwy?.... To mówca na schronisko zmarłego rzuca od młodzieży wieniec — ostatni podarek swemu kierownikowi....

Mówca skończył. Dźwięki pieśni się odzywają.

Już poszedł w niedoścignioną dal, jak łza, czysty, piękny, jak marmur, poszedł tam przed ołtarz Bóstwa odebrać zapłatę — i idzie niepewny, idzie samotny, idzie opuszczony...

Boleść zarzuca swe cienie na dusze zebranych i przez łzy przedziera się pieśń prośby, by Niebiosów Królowa go nie opuściła i przed tron zaprowadziła — płynie ta błagalna, święta, cudotwórcza pieśń:

Salve Regina!

. . . . . . Na trumnę padają gruzy ziemi, ostatnie pożegnanie znajomych, a trumna kryje się przed ich oczyma, ziemia ją do swego łona wciska, do wspólnych mogił składa...

...Chwila — — już go niema! Niedawno był jeszcze, choć martwy, lecz i to ciało, martwe ciało nam wzięli — och niegodziwi! . . . .

. . . .

I w duszy, co skarbnicą jest wspomnień, rodzi się to uczucie żalu i boleści — i świat próżnią się wydaje, w której smutek panuje, a wspomnienia tę nicość wypełniają i zawodzą za duszą zmarłego do niebiosów Królowej hymn:

Salve Regina!

. . . .

. . . . . . Jak smutno . . . .

Hieronim Ramer.



W dzień zaduszny.

Puk, puk, ach kto tam? to wiatr tylko
Poruszył liście drzew przed chwilką
I trącił w okienko moje.
Puk, puk, coś tak jękło boleśnie —
„To ja przyszłam już dziś tak wcześnie
„To ja, Matuś, dziecko Twoje...
„Choć wiatr zrywa, co zoczy
„Przyszłam zajrzeć w Twe oczy
„Na chwilę.
„Pozwól dotknąć Twej ręki
„Niech Ci długie Twe męki
„Umilę.
„Puk, puk, wyjrzyj chociaż raz do mnie,
„Niech Ci dawne me szczęście wspomnę,
„Które świeży grób powleka.
„Puk, puk, jesienne dni tak chłodne,
„Ponure i wciąż niepogodne,
„A ja tu przyszłam zdaleka.
„Ty płaczesz, to mnie boli,
„Chcę ulżyć Twej niedoli,
„Otrzeć łzy.
„Już nie wrócę do ludzi,
Nic mnie ze snu nie zbudzi,
„Smutno mi.
„Ale Twe gorzkie łzy, Mateńko,
„Przyszłam dziś otrzeć moją ręką,
„Ukoić ciężkie Twe żale.
„Nie płacz już, nie płacz tak, Matuchno
„Gdy pierwsze liście wiatry zdmuchną
„Nie będzie mnie tu wcale.
„Odejdę między dusze bratnie,
„Dziś odwiedziny me ostatnie,
„Żegnaj! czas.
„A gdy wieczorem na mym grobie
„Zapalisz lampkę, wspomnij sobie
Ostatni raz!
„To dzień wesela dziś dla duszy,
„Niejedno serce tam się wzruszy,
„Zapłacze gorzką życia łzą.
„Spojrzyj Mateńko między krzyże,
„Ja tuż do Ciebie się przybliżę
„Czy poznasz wtedy córkę Twą?
„Wyciągnij do mnie ręce Twoje
„Ja Cię utulę i ukoję,
„Bo później nie wrócę tu już!
„Gdy wiosną pierwsze wejdzie kwicie,
„Chodź na mogiły gdzie Twe dziecię,
„Czeka wiązanki Twych róż!
„A jeśli róża na mogile
„Zachowa świeżość długie chwile,
„A ciesz! się ciesz!
„Pójdę gdzie wieczne są rozkosze,
„I Tobie Niebo też uproszę,
„Spiesz do mnie, spiesz!“

Cierń.





Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy.)

Prokurator pojechał sam do Paryża, aby się przekonać, czy Lucyan rzeczywiście był tej nocy w klubie. Wszystko jednak zgadzało się tak dokładnie z opowiadaniem hrabiego, że o popełnieniu morderstwa z jego strony mowy być nie mogło. Przeszło dwudziestu członków klubu potwierdziło, że Lucyan grał w karty z nimi w nocy z pierwszego na drugiego listopada i że był ostatnim, który poszedł do domu, a więc dopiero około siódmej rano.

Jedno tylko podpadło prokuratorowi i to, że Lucyan, który zawsze ubierał się tak starannie i do klubu zwykle we fraku chodził, tej nocy właśnie udał się tam w ubraniu podróżnem. Mógł przecież pojechać z koleji najpierw do domu, przebrać się i potem iść do klubu. Chodziło mu więc widocznie o jak najprędsze pokazanie się znajomym, aby mieć na pogotowiu alibi.

Podejrzenie, jakie mieli prokurator i sędzia przeciwko hrabiemu, zwiększało się coraz to bardziej, a pomimo to nie potrafił ani jeden ani drugi znaleść najmniejszego dowodu jego winy. Prokurator postanowił przekonać się teraz jeszcze, gdzie Lucyan przepędził następne dwa dni po spełnieniu morderstwa, chociaż to już z dramatem w Saint-Luc żadnej nie miało styczności.

Pani Satore, o której hrabia wspominał, mieszkała na ulicy Amper, policya paryzka zaś, której pomocy wezwał prokurator, potwierdziła w najdrobniejszych szczegółach zeznania hrabiego. Pani Satore pochodziła z Alzacyi i nazywała się z domu Ferenbach, występowała przez kilka lat na scenie i miała bardzo licznych wielbicieli. Jeden z nich, niezmiernie bogaty Amerykanin, ożenił się później z nią, i umarł wkrótce, zostawiając jej wszystkie swoje miliony, a młoda wdowa żyła teraz z procentów i nie myślała już więcej o swym zawodzie artystycznym. Wszyscy, którzy ją bliżej znali, chwalili ją i lubili i policya nie miała żadnego powodu zajmowania się nią. Gdy prokurator zadzwonił do drzwi skromnego, ale wytwornego domu, w którym pani Satore mieszkała, otworzył mu lokaj w ciemnej liberyi i odebrał jego kartkę wizytową.

— Pani chora jeszcze i nie przyjmuje nikogo, — rzekł służący.

— Ale ja muszę się z nią widzieć, sprawa bardzo jest ważna, — zawołał prokurator, wchodząc bez ceremonii do sieni. Służący zdumiony, wprowadził go do salonu, poczem udał się na górę, i po chwili wrócił.

— Pani żałuje, że przyjąć nie może!

Jantel wyjął z kieszeni drugą kartkę i ołówek i napisał następujące słowa:

— Jestem prokuratorem z Abbeville i przybywam tu w charakterze urzędowym. Krótką rozmową ze mną pozbędziesz się pani mnóstwa przykrych formalności, proszę mnie więc przyjąć w własnym interesie.

Służący odszedł z kartką po raz drugi, prokurator zaś, zostawszy sam, zaczął się rozglądać po wspaniale urządzonym salonie. Główną jego uwagę zwrócił na siebie wielki portret, przedstawiający bez wątpienia samą panią domu, w młodszych tylko latach, a jeżeli pani Satore była rzeczywiście tak piękną, to nie można się było dziwić, że miała na scenie wielkie powodzenie.

Ale teraz podpadło prokuratorowi coś innego jeszcze, gdy patrzał na ów portret. Gdzież on już widział te delikatne rysy twarzy, te śliczne modre oczy i klasycznie wykrojone usta?

I gdy szukał w myśli podobnej twarzy, ukazał się służący z oznajmieniem, że pani Satore prosi gościa do swego pokoju. Pan Jantel udał się natychmiast na pierwsze piętro.

W wytwornym buduarze siedziała na wygodnej kanapce pani Ella Satore, a na pierwszy rzut oka można było poznać, że istotnie ciężką przebyła chorobę. Twarz jej była nieomal tak bladą, jak biały flanelowy szlafroczek, który okrywał jej zręczną i wysmukłą postać, liczne zaś i kosztowne pierścionki zdawały się być za obszerne na bardzo pięknych palcach.

Prokurator patrzał zdumiony na tę uroczą kobietę i teraz nagle wiedział, kogo mu tak przypominała. Otóż pani Satore, chociaż może o kilka lat starsza, była uderzająco podobną do Violi. Rysy twarzy, postać i ruchy były zupełnie te same, tylko usta i oczy inny miały wyraz. Uśmiech Violi był smutny i przymusowy, i każdy mógł się domyśleć łatwo, że biedna nie zaznała szczęścia w życiu, pani Satore zaś uśmiechała się swobodnie, ale trochę szyderczo, a podczas kiedy Viola miała wyraz oczu łagodny i miękki, patrzała pani Satore na ludzi z boku, jak gdyby się lękała spotkania z czyimś wzrokiem.

— Przepraszam, że panią trudzę, zaczął Jantel uprzejmie, ale jak już pisałem, przybywam tu w ważnej bardzo sprawie.

— Właśnie dlatego zdecydowałam się przyjąć pana, odrzekła pani Satore, chociaż jestem jeszcze niezmiernie słabą. Siadaj pan, proszę! Byłam rzeczywiście blizką śmierci i gdyby nie energiczna pomoc i troskliwa opieka jednego z moich przyjaciół, to kto wie, czybym dziś jeszcze żyła!

— Przyjacielem tym jest hrabia du Plessis, nieprawda?

Pani Satore zaniepokoiła się widocznie.

— Tak, zawołała, czemu pan pytasz o to!

— Bo sądowi na tem zależy.

— Sądowi? A cóż ja z nim mam wspólnego?

Oburzenie jej było tak szczere, że prokurator był od razu przekonany o jej niewinności. Nie mogła ona być wspólniczką Lucyana, chociażby tenże istotnie miał na sumieniu śmierć markizy.

— Na pani nie cięży żadne podejrzenie, odrzekł z uśmiechem, chodzi tu o kogoś innego.

— Ale przecież nie o hrabiego du Plessis.

— Tego nie mówiłem. Odpowiedz mi pani przedewszystkiem na kilka pytań. Więc gdy zachorowałaś, posłałaś po hrabiego. Kiedy on przyszedł tutaj?

— W pierwszych godzinach popołudniowych w dniu Zadusznym. Zastał mnie już bardzo chorą, pobiegł więc po doktora i po Siostrę miłosierdzia i uczynił wszystko co mógł, aby odwrócić grożące mi niebezpieczeństwo. Na moje prośby pozostał przy mnie cały dzień i następną noc i odszedł dopiero na trzeci dzień, gdy najgorsze już minęło. A zresztą, dodała podnosząc dumnie głowę, musisz pan wiedzieć, że hrabia jest moim narzeczonym, chociaż dotąd nie ogłosiliśmy jeszcze naszych zaręczyn. Stanowisko, jakie zajmuje we fabryce pana Lemarche, nie odpowiada moim wymaganiom. Są też jeszcze inne przeszkody...

Prokurator zdumiony spojrzał na nią.

— Jak to? rzekł, o jakich przeszkodach myślisz pani?

— No, zawołała, śmiejąc się szyderczo, stary fabrykant jest bardzo zarozumiały na nazwisko zięcia, którego sobie córka kupiła. Lucyan jest przekonanym, że Lemarche uczyni wszystko co może, aby przeszkodzić naszemu związkowi, nie życzy sobie bowiem wcale, aby dawniejsza aktorka nosiła to samo nazwisko, jakie ma jego córka. Ale ja jestem cierpliwą, mogę zaczekać, i czy stary chce, czy nie, stanę się ciotką jego wnuczki i bratową owej markizy, która podobno jest jedną z najdumniejszych kobiet w Paryżu.

Pani Satore nie wiedziała więc nic jeszcze o śmierci markizy. Widocznie słaba i nie zupełnie zdrowa nie czytała dotąd gazet i nikt też nie chciał jej wzruszyć opowiadaniem dramatu w Saint-Luc. Ale prokurator poznał, że to jest kobieta namiętna, i że wywiera zapewne wielki pływ na hrabiego. Czy hrabia kochał ją rzeczywiście, czy też pragnął tylko posiąść jej majątek? Prokurator byłby ją chętnie dalej jeszcze pytał, widział jednak, że to, ze względu na jej siły, było chwilowo niemożliwem.

— Więc pani twierdzisz — rzekł, wstając — że hrabia nie opuszczał domu twego przez cały dzień i całą noc z drugiego na trzeciego listopada?

— Tak jest, mój panie. Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj służby.

Jantel uznał za całkiem zbyteczne i był jak najmocniej przekonanym, że pani Satore z zbrodnią tą żadnej nie ma styczności i że nie wie nic o tem, co się w zamku stało.

. . . .

Pogrzeb markizy odbył się następnego dnia. Ciało spuszczono do grobowca familijnego w parku, a zaraz na drugi dzień potem Lucyan wrócił do Paryża, aby pracować dalej w fabryce, podczas kiedy Lemarche i Gaston pozostali jeszcze na pewien czas w zamku. Zdrowie markiza polepszyło się o tyle, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło, ale chory leżał zawsze jeszcze jak martwy i nie zwracał uwagi na nic, co się w koło niego działo.

Pod tymi warunkami nie było mowy o tem, aby go sędzia mógł przesłuchać, postanowiono więc zaczekać, dopóki zupełnie nie wyzdrowieje, co zresztą dla sprawy samej całkiem było obojętne, bo wszyscy byli aż nadto przekonani, że on właśnie najmniej mógł tajemnicę tę wyjaśnić.

Nareszcie zdawało się obecnym, że apatya chorego markiza zaczyna zwolna ustępować. Rozmawiał teraz chwilami z otaczającymi go, dziękował im za troskliwą opiekę i okazywał pewne zajęcie się domowemi drobnostkami. Gaston zamierzał więc wrócić do Paryża, aby ukończyć swoje studya, i pana Lemarche wzywały także pilne sprawy do powrotu do fabryki. Pożegnawszy zatem serdecznie Violę i Ginę opuścili obydwaj zamek.

Gdy fabrykant ukazał się w swem biurze, przybiegli wszyscy jego urzędnicy, aby go powitać i wyrazić mu współczucie z powodu tragicznej śmierci jedynej córki.

— Dziękuję, dziękuję — szeptał starzec ze łzami w oczach — jestem przekonany o szczerości waszych uczuć, ale co się już stało, trzeba mi zapomnieć. Proszę, aby w przyszłości nigdy o tem nie było mowy.

I pożegnawszy ich uprzejmie, przywołał najstarszego inżyniera do siebie.

— Jakże idą interesa? — zapytał krótko.

— Spodziewam się, że znajdziesz pan wszystko w jak największym porządku — odrzekł tenże. — Nadeszły liczne zamówienia i większa część ich została już załatwioną.

Lemarche kazał przynieść książki i rachunki, przejrzał je uważnie i był widocznie z wszystkiego bardzo zadowolony.

— Kto mnie zastępował w tym czasie? zapytał.

— Z początku ja, ponieważ wyznaczyłeś mnie pan sam na swego zastępcę, ale gdy wrócił hrabia du Plessis żądał wydania mu książek. Myślałem, że stało się to za wyraźnem pozwoleniem pana.

— I umiał prowadzić dobrze interesa?

— Doskonale!

— Lepiej, niż pan?

Młody człowiek zarumienił się, ale nie namyślając się ani chwili odrzekł z przekonaniem:

— W każdym razie nie gorzej!

Fabrykant pochylił głowę i milczał. Potem spytał nagle:

— Nie wiesz pan, gdzie się obecnie hrabia znajduje?

W pańskim gabinecie prywatnym!

— Dobrze, dziękuję panu.

Gdy po upływie kilku minut wszedł fabrykant do swego biura prywatnego, był już tak spokojnym i poważnym, jak zwykle, ale w sercu jego gwałtowna wrzała burza. Teraz miała rozpocząć się owa cicha, zacięta walka z Lucyanem, mająca się zakończyć wykryciem jego zbrodni! Sędzia dał mu bardzo dokładne wskazówki, w jaki sposób zmusić zręcznem postępowaniem mordercę do wyznania winy, obydwaj jednak wiedzieli, że rzecz ta może trwać bardzo długo, i że bądź co bądź — zwycięztwo pozostaje zawsze jeszcze wątpliwem.

Lemarche miał pozornie okazywać mu wielkie zaufanie i dać do zrozumienia, że zgadza się na oddanie mu z czasem posady swego zastępcy. Było to zadanie nad wyraz przykre i trudne!

Na widok wchodzącego fabrykanta wstał Lucyan od stołu, założonego papierami i książkami i odsunął gwałtownie krzesło, na którem siedział. Twarz jego zbladła na chwilę, ale zaraz potem zapanował nad sobą i zaczął się dokładnie wypytywać o wszystko, co zaszło w zamku po jego wyjeździe, a mianowicie o zdrowie brata.

Lemarche odpowiedział mu na wszelkie pytania i przeszedł natychmiast na inny temat.

— Proszę o rachunki, rzekł krótko, ale uprzejmie.

Lucyan przedłożył książki, tłómacząc wszystko tak jasno i zwięźle, że po upływie niespełna godziny była cała robota ukończoną. Lemarche czuł, że hrabia z upragnieniem czeka na słowo uznania i pochwały, ale pomimo naszczerszej chęci nie mógł się na to zdobyć. I gdy Lucyan, złożywszy papiery, zamierzał usiąść znowu na miejscu, które zajmowali zawsze pełnomocnicy fabrykanta, rzekł tenże więcej szorstko, niż może myślał i chciał:

— Zostanę tu teraz sam, pan zaś możesz wrócić do swego dawniejszego zajęcia i czekać dalszych moich dyspozycyi.

Oczy hrabiego zabłysły szalonym gniewem i zdawało się, że gwałtowny jego charakter wybuchnie tłumioną wściekłością. Lemarche czytał spokojnie jakiś list, i nie zwracał na hrabiego żadnej uwagi.

— Chciałbym pana prosić o pewne wyjaśnienie — odezwał się nareszczcie Lucyan ochrypłym głosem.

— Nie moglibyśmy odłożyć tego na później?

— Nie, chciałbym korzystać z sposobności...

— Więc proszę!

Lucyan zbliżył się do stołu, napełnił szklankę wodą z karafki i wypił ją szybko, potem przysunął sobie krzesło i rzekł:

— Podczas mej bytności w zamku Saint-Luc, gdy żyła jeszcze Laura.... otrzymałem od niej uroczyste przyrzeczenie, że zostanę pełnomocnikiem pana. W ostatnich dniach wypełniałem też obowiązki pełnomocnika i spodziewam się, że pan jesteś ze mnie zadowolonym!

— Tego jeszcze teraz powiedzieć nie mogę — odparł Lemarche poważnie. — Muszę dopiero przejrzeć sam wszystko dokładnie.

Lucyan odetchnął trochę swobodniej, wszakże fabrykant nie odmawiał mu stanowczo, tak, jak to dotąd bywało.

— A jeżeli pan się przekonasz o moich zdolnościach i dobrej woli — dodał nieco śmielej — czy wypełnisz wtedy przyrzeczenie, jakie mi Laura dała?

— Masz pan dowód, że przyrzeczenie istotnie było ci danem?

— Moje słowo powinno wystarczyć.

Na chwilę przykre zapanowało milczenie. Lemarche pierwszy przerwał je.

— W każdym razie nie możesz mi pan wziąść za złe, jeżeli zastosuję się ściśle do życzenia mej córki i wypróbuję pana przez rok cały, zanim coś stanowczego zadecyduję. Wszakże Laura żądała tego.

Lucyan zagryzł usta aż do krwi. Czuł się pobitym własną bronią i nie mógł sobie darować swej zniewagi. Czemu powiedział to fabrykantowi? Czy starzec nie mógł się pozbyć swego podejrzenia i umyślnie nowe stawiał mu trudności? Ale twarz pana Lemarche wyrażała w tej chwili tyle łagodnej dobroci, że o braku zaufania mowy być nie mogło.

— I po roku wypełnisz pan przyrzeczenie Laury? — zapytał po raz drugi.

— Obecnie nie możesz pan żądać odemnie stanowczej odpowiedzi! Jest to rzecz zbyt wielkiej wagi, abym dziś już miał się wiązać obietnicą. Pracuj pan pilnie — interesa nasze idą z sobą ręka w rękę, a jeżeli mi pan rzeczywiście dobre wyświadczysz przysługi, w takim razie — zobaczymy!

Lucyan był pozornie dosyć zadowolonym, ale gdy wrócił do swego biura, zacisnął gniewnie pięści i szepnął złowrogo błyszczącemi oczami:

— Jeżeli mnie zwodzisz, stary despoto, w takim razie nie wiesz, co cię czeka. Zobaczymy, który z nas mocniejszy!

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Nareszcie, po długiej i ciężkiej chorobie wrócił markiz o tyle już do zdrowia, że doktor pozwolił mu wstawać, siły jednak odzyskiwał bardzo powoli. Dziwna rzecz, że podczas kiedy inni ludzie starzeją się w chorobie, wyglądał markiz o wiele teraz młodziej. Rzeczywista bladość twarzy nadawała mu wyraz prawdziwie młodzieńczy, a poważne zwykle oczy jaśniały o wiele żywiej i swobodniej. Z tem wszystkiem popadał często w głęboką i jak się zdawało, bolesną zadumę i wtedy nie zważał ani na słowa pociechy proboszcza, ani swego wiernego przyjaciela Bisona, jedyną tylko ulgę sprawiało mu towarzystwo Violi i Giny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Na puszczy.

Z angielskiego skreślił dla „Pracy“ **Dr. W. Z.**

(Przedruk wzbroniony).

(Ciąg dalszy.)

Na tę myśl krople zimnego potu wystąpiły na jej rozpalone czoło. Byłaby mogła głośno jęknąć — lecz ścisnęła zęby, by głosu z siebie nie wydać — w dziecinnej swej świadomości wiedziała, że musi panować nad sobą, bo inaczej zmysły ją opuszczą.

Słońce przeszło już południe — była zatem w drodze już prawie od dziesięciu godzin. Na myśl przyszła jej teraz opuszczona, we łzach tonąca matka, licząca w tej chwili każdą godzinę i wyczekująca z upragnieniem powrotu i wiadomości o ojcu.

— Aj, nie byłam dobrą dla niej, nie byłam! myśląc zawsze tylko o *Nim* — a potem w wyobraźni jej przesuwać się zaczęły, białe łóżeczko i szary kot domowy i kwitnące róże w ogrodzie i krzyżyk z poświęconą palmą, zawieszony na ścianie i wieczerze z matką spożywane — wszystko to tak drogie a w tej chwili tak niedostępne, może na zawsze utracone.

— Bylebym *Go* tylko ostrzedz i uratować mogła! a potem — niechby mnie i umarłą do domu zawieźli — mówiła sobie, a myśl, że nieotrzymawszy ostrzeżenia ojciec tej samej nocy jeszcze pójdzie do miasta i znowu aresztowanym zostanie, była dla niej nożem obracanym w żywej i krwią ciekącej ranie.

Była już trzecia godzina z południa. Uczucie opuszczenia i bezradności ją ogarnęło i ciężarem ołowiu przygniatało do ziemi.

Siły Palmy były już zupełnie wyczerpane — mimowoli padła pod krzakiem na ziemię; zdążyła tylko zrzucić ciężkie drewniaki z nóg bolących i żakiecik z przemokłych potem ramion, głowa przechyliła się w tył i zasnęła natychmiast kamiennym snem, bez ruchu, bez marzeń, bez czucia.

Rozłożyste zielone gałęzie krzaku osłaniały ją swym cieniem od palącego słońca — bose nóżki pozostały w słońcu — biała koszulka tylko odbijała od otaczającej ją zewsząd zieloności. Ta śnieżna plama podpadła bystrym oczom konnego żandarma przedzierającego się niedaleko przez zarośla. Kilku ich bowiem zostało wysłanych, ażeby śledzić w Brughierze za zbiegłym Leljuszem Dolabellą.

Podjechał bliżej i zobaczył dziecko uśpione — butelka z winem obok niej leżała na trawie. Był to żandarm z Gallaraty, który od razu poznał córeczkę Leljusza.

— Aha! wysłano ją, ażeby zbiegowi zaniosła pożywienie i wiadomości — pomyślał.

Zsiadł z konia a chwytając Palmę za ramię, szarpnął ją, mówiąc:

— No! wstawaj dzieciaku!

Zbudzona nagle z głębokiego snu i oślepiona słonecznym blaskiem, Palma w pierwszej chwili nie wiedziała ani gdzie się znajduje, ani kto do niej przemawia.

Żandarm brutalnie dźwignął ją z ziemi i postawił na nogi.

— Jesteś córką zbrodniarza — odezwał się znowu potrząsając nią silnie — w drodze do niego nieprawda?

Palma w tej chwili odzyskała zupełną przytomność i od razu jej się przypomniało, że jej nic mówić nie wolno.

— Gadaj! — wrzasnął żandarm rozdrażniony jej milczeniem i ręką groźnie uderzył po rękojeści pałasza.

Palma stała niema jak kamień.

Wtenczas żandarm przyłożywszy rozwarte dłonie do ust, nawoływać zaczął w pobliżu jadących towarzyszy, którzy też zaraz przyspieszając kroku koni, przy nim się ukazali.

— Patrzcie! to jest córka tego zbiega Dolabelli; naturalnie musi wiedzieć, gdzie się jej ojciec znajduje — lecz mała żmija nie chce nic mówić.

Znowu drobnem jej dziecinnem ciałem silnie potrząsnął.

— Gdzie jest twój ojciec mała? odezwał się drugi żandarm — tylko to nam powiedz, a puścimy cię wolno. Wiemy, że się ukrywa w Brughierze — upór na nic ci się nie przyda.

Palma jak gdyby była wyrzeźbioną z drzewa lub z kamienia, nawet nie dała poznać po sobie, że ich słyszy lub rozumie.

— Miałbym ochotę roztrzaskać ci głowę, szelmo ty mała — rzekł pierwszy żandarm. Potem podjął butelkę leżącą na ziemi, odkorkował, pokosztował a napiwszy się z niej do woli, podał ją towarzyszom, którzy od razu ją wysuszyli. Tak samo podzielili się chlebem.

Konie cięte przez muchy niepokoić się zaczęły — ludzie zmęczeni kilkodzinnem przedzieraniem się przez zarośla, nie byli wcale dobrze usposobieni i nie myśleli wcale tracić czasu na dalsze badanie dziecka.

— Skoro nie chcesz nam nic powiedzieć, to cię zabierzemy do innych ludzi, którzy potrafią cię zmusić do wyśpiewania wszystkiego — odezwał się ten, który pierwszy ją był pochwycił. Z torby wyjął mocny powróz, jeden koniec tegoż przymocował do rączki Palmy, a drugi przywiązywać zaczął do strzemienia.

Lecz inny żandarm łagodniej usposobiony, bo sam miał własne dzieci w domu, powstrzymał go mówiąc.

— Dajże pokój, przecież widzisz, że to jest słaba dziewczynka tylko — zabijesz ją ciągnąc przez zarośla przy koniu.

— Jest dość mocna, ażeby módz mówić — odrzekł tenże, dodając klątwę żołnierską.

Lecz Palma była niemą.

— Wskaż nam dziecko, gdzie jest twój ojciec — odezwał się drugi — a wezmę cię na konia przed siebie i odwiozę do domu, o zachodzie słońca już będziemy w mieście.

Mogła im była sumiennie powiedzieć, że nie wie gdzie się jej ojciec w tej chwili znajduje, lecz nie byliby temu uwierzyli. Pomimo okropnego przestrachu, jakiego w tej chwili doznawała, myśl, że najlepiej będzie nic nie mówić, nie opuszczała ją na chwilę. Jej się zdawało, że cokolwiek by powiedziała, zawsze to na szkodę ojca mogłoby być zużytem. Trzej żandarmi na koniach zdawali się być w tej chwili trzema olbrzymiemi smokami czyhającemi na życie jej ojca — a obawa o niego, strach o własną osobę tłumiła.

— Weź ją na siodło przed siebie, skoro nie chcesz, ażebym przywiązaną do strzemienia ją prowadził — odezwał się pierwszy. Zagadnięty schylił się z konia, uchwycił rękę Palmy, potem pasek i wciągnął ją na konia przed siebie.

— Trzymaj się końskiej grzywy, jeżeli nie chcesz zlecieć na ziemię! — odezwał się do niej i trzej jeźdźcy skierowali się ku dawno opuszczonej farmie, zwanej Cascinale, gdzie obecnie znajdowały się baraki do pomieszczenia pewnej liczby żołnierzy.

Jeźdźcy przedzierając się przez wysokie trawy i krzaki nie mogli pospieszać — jazda kłusem byłaby niezawodnie zrzuciła na ziemię Palmę osłabioną i wyczerpaną upałem, pragnieniem, trwogą i niezmiernem zmęczeniem. Jej przymusowy opiekun wyśmiewany przez towarzyszy, jechał za nimi ostatni, trzymając prawą ręką dziewczynkę za suknię, obawiając się, ażeby nie zeskoczyła z konia i nie uciekła.

Wkrótce utraciła przytomność — śmiertelna obawa i przerażenie, niezwykły ruch, promienie słoneczne palące ją w tył głowy, szalone pragnienie, odjęły jej wszelką świadomość i znieczuliły zupełnie.

W dwie godziny stanęli na miejscu, zmęczeni, rozdrażnieni i wyczerpani głodem.

Na dziedzińcu wybrukowanym kamieniami żandarm zrzucił Palmę z konia — upadła na ziemię bezprzytomna i dopiero zlanie zimną, studzienną wodą, zmysły do pewnego stopnia jej przywróciło.

Żandarm, który pierwszy ją pochwycił, skrępował jej ręce powrozem na plecach, potrącił szorstko, mówiąc „wstawaj ty djabelskie plemię zbrodniarza!“ Lecz Palma powstać nie mogła — pozostawił ją zatem leżącą na bruku, sam zaś poszedł, ażeby zdać raport z całodziennych czynności.

Na dziedzińcu stało więcej żołnierzy z obojętnością przypatrujących się wszystkiemu — niektórzy zbliżyli się ze śmiechem i żartem na ustach, lecz wreszcie ją pozostawili leżącą w przemoczonej wodą i zabrukanej piaskiem koszulce i spódniczce, tak barwnej, gdy dzisiaj rano z domu wychodziła.

Po pewnym czasie żandarm wyszedł z domu i gwałtem Palmę postawił na nogi, zmuszając pójść do urzędowego biura. W małej, niskiej izdebce siedział oficer przy stole. Palma idąc

chwiała się i zataczała ze słabości; zdawało jej się, że wszystkie kości ma połamane.

Komendant karabinierów spojrzał na nią zdziwiony.

— Ależ to jest dziecko jeszcze! — a potem odezwał się do niej łagodnie:

— Ty jesteś córką Leliusza Dolabelli?

Palma nie odrzekła ani słowa.

— Czemu nie odpowiadasz na moje pytanie?

To samo milczenie.

— Z jakiego powodu znalazłaś się w Brughierze?

Żadnej odpowiedzi.

— Ty wiesz, gdzie jest twój ojciec?

Palma milczała.

— No! kiedy nie chcesz odpowiadać, to cię zmusimy do mówienia — rzekł oficer tracąc cierpliwość, pomimo, że się litował nad nią.

Palma tak jeszcze była mała, a w tej chwili miała wygląd tak zmarnowanej i wyczerpanej istoty. Oczy, w których się malowało tyle cierpienia i bólu i tyle niemej trwogi, patrzały na niego z wyrazem zranionego i przez zaciekłe oczy ściganego jagnięcia. Widział, że na nogach utrzymać się prawie nie może, kazał jej zatem usiąść na kamiennej ławce.

— Jeżeli będziesz tak upartą, zmusisz mnie do bardzo bolesnego ukarania ciebie — a potem znowu próbował wydobyć z niej słowo i łagodnością i groźbą i wymową — lecz wszystko było na próżno.

— Umrze, albo zmysły straci — pomyślał — lecz mówić nie będzie. Żandarm, który ją był pochwycił i wprowadził, uśmiechał się z zadowoleniem, powiedział bowiem zaraz, że mała żmija mówić nie chce.

— Zaprowadź ją do celi — rzekł oficer wreszcie — niech żona brygadyera ją zrewiduje, może ma plany spiskowców lub listy od nich schowane. Rozwiąż jej ręce i pozostaw samą. Głód i cierpienie otworzą jej usta!

Rozkaz został spełniony nader sumiennie. Żona brygadyera przetrząsła jej ubranie nic nie znalazłszy. Ręce jej rozwiązano i pozostawiono ją leżącą na gołych cegłach, któremi cela była wyłożoną. Drzwi się zamknęły, a Palma pozostała w nieprzeniknionej okiem ciemności, drżąca z zimna, w przemokłej odzieży i dręczącej ją trwogi.

W domu nie obawiała się nigdy ciemności; — spała zawsze bez światła — lecz ta ciemność w domu była inną, była więcej swojską i nieprzerażającą. W domu kropielniczka ze święconą wodą wisiała tuż przy łóżeczku, w drugim pokoju spali rodzice — tutaj było inaczej, tak straszno, tak pusto, tak zimno.

Zdawało jej się, że musi całym głosem krzyknąć — lecz myśl, że nawet i ten krzyk, wyrywający się z jej zbolałej piersi, zdradziłby jej ojca — powstrzymała ją — przygryzła język, rączkami zatykała sobie usta, ażeby nawet i głośniejszego jęku nie wydać.

Godziny przechodziły jedna za drugą, cichość zupełna ją otaczała, bo cela, w której ją zamknięto, była w odległym końcu zabudowań, a zresztą zapomniano o niej. Toć w oczach policyjnych zbirów była tylko dzieckiem spiskowca. Cóż ich to obchodziło, czy jej się zmysły pomięszają, lub umrze ze strachu tam w celi więziennej! Taki dyabelski posiew najlepiej jest wyrwać z korzeniem, zdeptać i zniszczyć zupełnie.

Komendant litujący się nad dzieckiem z początku, poszedł do kolegów grać w karty i zapomniał o niej, żołnierzom zaś było zupełnie obojętnem czy ją skorpiony na śmierć zakłują lub szczury żywo zjedzą. Uporem swym nie zasłużyła na coś lepszego.

Palma leżała na gołych cegłach z rączkami podłożonemi pod głowę. Starała się nie myśleć o wszystkich ją otaczających okropnościach i mogących się jeszcze pojawić — lecz pomimo to czuła, że w głowie jej się kręcić zaczyna i że niezadługo chyba umrzeć jej przyjdzie.

Naraz klucz zgrzytnął w zardzewiałym zamku, potok światła ją oblał. Była to ta sama kobieta przychodząca, ażeby ją do mówienia nakłonić.

— Tylko powiedz, co ci jest wiadomem, a wszystko od razu się zmieni, dostaniesz wody i wina ile zechcesz, a rano odwiozą cię do domu do matki. Na co się zda być tak upartą, musisz być posłuszną władzy, bo wszyscy ją słuchać jesteśmy zobowiązani.

Kobiecie tej dano zgóry wskazówkę, ażeby wszelkiemi możliwemi sposobami, prośbą czy groźbą skłoniła Palmę do mówienia, lecz wszystko było daremnem. Gardło ściskało palące pragnienie, głód jej dokuczał okropnie, całe ciało było zbite i wyczerpane, szczególniej ręce, twarz i nogi podrapane gałęziami i pokłute przez moskity były obrzękłe i bardzo bolesne, w głowie czasami odczuwała zamęt, lecz pomimo tego wszystkiego ani na chwilę z pamięci nie zeszła myśl, że jeden największy obowiązek musi spełnić — obowiązek milczenia.

— Jesteś jeszcze za małą, by być jak muł upartą — trzebaby cię zbić porządnie, a możebyś w ustach znalazła język od razu.

Rozgniewana kobieta porwała lampkę i wyszła zatrzaskując drzwi za sobą, znowu klucz zgrzytnął w zamku i znowu nieprzebyta ciemność Palmę otoczyła.

Skutkiem niesłychanego pragnienia febra Palmą trząść zaczęła, czuła się jeszcze więcej bezsilną i opuszczoną.

Po pewnym czasie kobieta znowu w celce się pojawiła, lecz tym razem przynosząc z sobą owoce, zupę, chleb i butelkę wody. Postawiła wszystko w pobliżu Palmy, lecz tak, że dziecko dosięgnąć tego nie mogło.

— Wszystko to dla ciebie, jeżeli tylko powiesz co od ciebie żądamy.

Palma zamknęła oczy, ażeby pokusy nie widzieć i ręką dała znak odmowy.

Kobieta wyszła zabierając wszystko ze sobą, lecz już po godzinie wróciła, niosąc kosz z owocami, chlebem i wodą

— No cóż? jeszcze nic nie powiesz?

Palma potrząsnęła przecząco głową, pomimo, że wilczy głód i palące pragnienie wody wnętrzności jej szarpały.

— To grzech tak sprzeciwiać się władzy przełożonej, twój ojciec jest złym człowiekiem niesłuchającym tak samo ani władzy, ani prawa.

Palmy oczy zapałały wściekłością na te słowa, lecz umiała się zmusić do milczenia.

— Musisz być spragnioną — mówiła kusicielka — nalewając w szklankę czystą, chłodną wodę.

Ciało dziecka zadrżało na ten widok, pragnienie odezwało się jeszcze silniej w ustach i w gardle — lecz zakryła sobie rękami oczy, ażeby uniknąć tego kuszącego widoku.

— A! gadzino przebydła — zawołała ze złością kobieta — powiem komendantowi, ażeby cię kazał wrzucić do studni, tambyś mogła się napić do woli, ażby cię woda zdławiła raz na zawsze.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął zbolałemi członkami, lecz zacisnęła usta, nie mówiąc ani słowa.

— Bądź posłuszną dziecko! — odezwała się znowu łagodniej kobieta — przecież tak mało od ciebie się wymaga. Powiedz tylko gdzie twój ojciec się znajduje, a dostaniesz jeść i pić do woli, prześpisz się w wygodnem łóżku mej córki, a rano odprowadzą cię do twej matki. Biedna kobieta, co ona cierpi — utracić musi męża, niechby przynajmniej jedyne dziecko do niej wróciło.

Podstęp był zgrabny, lecz nie zbałamucił Palmy.

— Biedna matka! — pomyślała tylko, lecz słowa nie rzekła.

Żona brygadyera siliła się namową skłonić Palmę do rozmowy, używała najczulszych wyrazów, lecz wszystko było na próżno.

Doprowadzona prawie do wściekłości tym zaciętym uporem dziecka, gdyż przez wydobycie upragnionej wiadomości byłaby wynagrodzenie zyskała, rzuciła na Palmę butelkę z wodą, która odbiwszy się od jej ramienia, upadła na ziemię i rozbiła się w kawałki. Woda obryzgała Palmę a reszta rozlała się po cegłach.

— To zostań gdzie jesteś, uparty bębnie — zawrzasnęła — rano skorpiony ze swych dziur powychodzą i cię tu znajdą.

Wychodząc znowu drzwi na klucz zamknęła.

Palma po wyjściu jej drżąc cała pod wrażeniem ostatniego wybuchu złości, przewróciła się na bok i zaczęła zlizywać rozlaną wodę z cegieł. Było jej tam bardzo mało, a w ciemności kawałki szkła usta jej raniły.

Następnie z największą trudnością uklękła, a potem starała się stanąć na nogach. Celka nie była już tak ciemną, bo przez małe otwarte okienko, umieszczone wysoko ponad ziemią, wpadało łagodne światło na niebie coraz wyżej wzbijającego się księżyca.

(Dokończenie nastąpi.)

Z teatru i koncertu.

Publiczność nasza nie lubi dramatów i poważnych sztuk, — dlatego w z. czwartek na przedstawieniu „Sobótek" Sudermanna panowały w teatrze przerażające pustki. Nie miał więc kto podziwiać błyskotliwych efektów Sudermannowskiej techniki, które na pierwszy rzut oka nie pozwalają widzowi zdać sobie sprawy z braków psychologicznych sztuki i ze słomianego ognia teatralnego wyrachowania. Sudermann, obejrzany przy świetle dnia, traci, — w królewskiej purpurze jego widne szychy i szarzyzna, — ale posiada ten człowiek szczególny talent niemiłosiernego, brutalnego szarpania nerwami. W z. czwartek odznaczył się wybitnie p. Borawski. Ucharakteryzowanie i gra jego odtworzyły wybornie postać niemieckiego obywatela ziemskiego. Tylko był może za mało tym strasznym człowiekiem, przed którym drżą wszyscy. P. Stradiot był w niektórych scenach np. w kłótni z teściem prawdziwym, — a że niebardzo psychologicznie rolę swą pogłębił, — może to i nie wada — przy roli, która rzeczywiście psychologicznie jest niemożliwą. Mniej szczęśliwą była pani Stradiotowa. Artystce tej braknie w artystycznej gamie jej talentu tonów średnich, matowych. Umie się zdobyć na silny tragizm i na melancholijną tkliwość — ale tego, co między temi dwoma krańcami leży, stworzyć nie umie. Zato panna Micińska była bardzo miluchną Trudą.

W z. sobotę teatr był przepełniony. Dawano bowiem farsę niemiecką Woltersa: „Rocznica ślubu". Adwokat, Jan Schmidt (p. Stradiot) jest specyalistą od spraw rozwodowych. Przychodzi do niego jako klientka pani v. Leyden (p. Stogniewska) i równocześnie odwiedza go przyjaciel z lat dawnych, doktor medecyny, Jan Klemm (p. Zejdowski). Doktor opowiada mu szczęście swe małżeńskie, zachwyca się żoną swą i pokazuje jej fotografią. Przypadkiem fotografią tę, wychodząc, zostawia na biurku adwokata. Po chwili wchodzi pani von Leyden i widząc fotografią tę, mdleje. Nie jest ona bowiem żadną panią v. Leyden, tylko żoną doktora Klemma, ukrywającą się pod przybranem nazwiskiem. Schmidt jest w ogromnym kłopocie; cuci ją jak umie, w końcu klękając, nasłuchuje bicia jej serca. Na tę scenę wchodzi jego żona (p. Stradiotowa). Oczywiście posądzenie, scena zazdrości. Utwierdza ją w jej podejrzeniu fotografia doktorowej z napisem: drogiemu Jankowi — Melania. — Postanawia opuścić dom męża — i udaje się natychmiast do matki. Do klientów adwokata Schmidta należy między innymi niejakiś Lampe (p. Czerniak). Opowiada on prawnemu doradzcy swemu zdradę żony i cała ta historya kubek w kubek odpowiada stosunkowi pani mecenasowej do młodego dependenta (p. Malski), pracującego w biurze Schmidta. To budzi w panu mecenasie również podejrzenie.

Cała historya kończy się szczęśliwie: doktorostwo i mecenasowie godzą się przykładnie. Godzi się z żoną i poczciwy Lampe. I młody Don Juan, dependent, żeni się z przyjaciółką mecenasowej, panną Elizą (pani Michnowska).

Grano z wielką werwą, w szybkiem tempie, co przy tego pokroju sztukach głównym jest warunkiem powodzenia.

Panowie Zejdowski i Czerniak wyzyskali role swe znakomicie. P. Zejdowski nawet w tej szablonowej, tuzinkowej roli, nie omieszkał stworzyć bardzo starannie obmyślonego typu. P. Stradiot był swobodnym i pełnym życia. Role pań mniej były bogate w komiczne efekta i mniej dawały pola do popisu. *Ali.*

* * *

Dnia 29-go z. m. w przepełnionej sali „Apollo", największej sali miasta Poznania, odbył się koncert mistrza Paderewskiego. Pomiędzy słuchaczami znajdowało się trzy czwarte części Polaków, reszta żydów. Niemców było bardzo mało.

Program koncertu był ułożony w wielkim stylu. A wykonanie? Daremnie się rozpisywać! Żadne pióro — nawet krytyka-muzyka — nie potrafi oddać wrażenia i uroku, jakie w słuchaczu czyni genialna gra naszego króla fortepianistów.

Burzą oklasków witano każde ukazanie się Paderewskiego na estradzie, burzą oklasków dziękowano mu za wykonanie każdego numeru programu.

Repertuar zamknął artysta — zaprodukowawszy wdzięczny i melodyjny nokturn własny — huczną Rapsodyą Liszta. Kto nie słyszał tego wykonania, temu trudno dać pojęcie o tej technice niezrównanej, która jednak nigdy nie występuje na pierwszy plan u mistrza, zostawiając pierwszeństwo melodyi, którą artysta rzeźbi genialnie.

Na sali nikt się nie ruszył z miejsca, klaskano, tupano, by zmusić artystę do ukazania się jeszcze i jeszcze i bez końca. Wreszcie pokonany zasiadł do fortepianu i zagrał inną Rapsodyą z melodyą w oktawach i żegnany nową burzą oklasków i okrzyków opuścił salę.

X.



†

Nekrologia.

Śp. Bogusław Bojanowski,

dziedzic dóbr Lgowa pod Żerkowem, umarł dnia 27-go października 1901 r. po długich i ciężkich cierpieniach. Zmarły był synem Kaliksta, dziedzica Krzekotowic i Skóraszewic, i Serafiny Potworowskiej; wnukiem po mieczu Franciszka Ksawerego i Korduli Szczanieckiej, a po kądzieli Andrzeja Potworowskiego i Ludwiki Żychlińskiej.

Był to prawdziwy typ dawnego szlachcica polskiego; w młodości skory do bitki i do wypitki, gorączka i zapaleniec, a w gruncie serce z wosku, czułe na każde cierpienie bliźniego. Do rodziny gorąco przywiązany, był także najlepszym przyjacielem. Postawy okazałej, o pięknych, regularnych rysach twarzy, miał w sobie coś ujmującego, co mu jednało serca.

Utraciwszy żonę, śp. Maryą z Brezów, córkę pułkownika i Konstancyi z Mycielskich, oraz troje z rzędu dorosłych dzieci, dwóch synów i córkę, sprzedał majątek rodzinny i nabył od swych krewnych Gorzeńskich dobra Lgów pod Żerkowem, gdzie po nagłej śmierci męża, śp. Antoniego Gorzeńskiego Ostroroga, osiadła przy nim owdowiała jego siostra, Ludwika z Bojanowskich Węsierska, zamieszkała w sąsiedztwie, w Tarcach, u córki swej Elizy, owdowiałej Stanisławowej Gorzeńskiej.

Odtąd pędził żywot cichy w gronie rodziny i przyjaciół. Od blisko czterech lat zapadł ciężko na zdrowiu, ale mężnie znosił najboleśniejsze cierpienia.

R. i. p.

* * *

Śp. Liberat Zajączkowski.

W dniu 27 października, zmarł nagle w Lwowie w 59 r. życia, na atak sercowy śp. Liberat Zajączkowski, prezes Tow. dziennikarzy polskich, żołnierz z roku 1863, były redaktor „Szczutka" „Ojczyzny" „Dziennika Polskiego" i „Gazety Narodowej". Śp. zmarły w życiu politycznem Galicyi wybitną odegrał rolę. Brał zawsze udział we wszystkich ważnych sprawach narodowych, a choć zawsze cichy i skromny, wywierał wielki wpływ na kształtowanie się stosunków politycznych w Galicyi. Ostatnie wielkie dzieło, w którem brał czynny udział, była wystawa krajowa w r. 1894, na której był kierownikiem biura prasowego. Jako prezes Tow. dziennikarzy polskich od roku 1895 położył niespożyte zasługi około rozwoju tego Tow. Jego przeważnie pracy i zabiegom zawdzięczać należy, że Tow. to wzrosło w fundusze i dziś może iść z pomocą członkom swym, wdowom po nich i sierotom. Pogrzeb odbył się kosztem Tow. dziennikarzy polskich.

R. i. p.

* * *

Śp. Jadwiga z Łubieńskich Ponikiewska.

Dnia 10 zm. odprowadzono na wieczny spoczynek zwłoki śp. Jadwigi z Łubieńskich Ponikiewskiej; na cmentarzu w Czeszewie spoczęła obok męża swego śp. Juliana. Przestało bić gorące a wielkie serce, znikła na wieki postać ko-

biety-obywatelki, która z prawdziwie bohaterską siłą ducha walczyła do ostatniego tchu życia swego, aby utrzymać ukochany kawał ziemi ojczystej. — Słusznie też nazwał „kresową niewiastą“ śp. Jadwigę, w mowie żałobnej, przy wyprowadzeniu zwłok z domu, ks. K. Zimmermann z Poznania. Prawdziwie w podniosłych swych słowach, porównał mówca zmarłą do owych niewiast, które w czasach dawnej przeszłości naszej, wśród nawałnic na Ojczyznę bijących, umiały zachęcać mężów do boju i wytrwałości. — Zaiste dzisiaj, gdzie tyle mężów gnuśnych i ospałych ze zdrętwiałą źrenicą a spokojnem sercem, spogląda na klęski swego narodu — jasna postać kresowej niewiasty, świeci przykładem wzniosłym i wielkim! — Wszakże i śp. Jadwidze nie szczędzono pokus, ze strony przeciwnej i wrogiej nam. Pamiętne będą jej słowa, które w takiej chwili wyrzekła z siłą i godnością: „póki tchu w mej piersi — piędź ziemi tej uronioną nie będzie!“ —

Pomimo ulewnego deszczu, liczny zastęp obywateli miejskich i wiejskich, pospieszył oddać ostatnią przysługę. — Śp. Jadwiga Poniekiewska i w sercach młodocianych pozostawiła rzewne wspomnienie. Drobne rączki młodziutkiej Heleny hr. B., jaknajpiękniej przybrały kościół w Czeszewie, oddając tę ostatnią przysługę pamięci sąsiadki i przyjaciółki domu rodziców. Eksportował zwłoki ks. prob. Kuligowski z Czeszewa. Pod pięknym baldachimem z kwiatów, zieleni i światła wśród śpiewu przybyłych śpiewaków, z okolicznych miasteczek, spoczęła trumna. Dnia następnego, w asystencyi 10 księży odprowadził zmarłą na wieczny spoczynek ks. K. Zimmermann. Przedtem, w kościele, przemawiał w rzewnych i serdecznych słowach ks. prob. Haupa z Gniewkowa. Nad świeżą mogiłą śp. Jadwigi Poniekiewskiej płacze nietylko pozostała rodzina, płaczą sąsiedzi, dalsi krewni, płacze lud cały. — Niechaj spoczywa w spokoju, a duch śp. zmarłej, niech czuwa i przelewa się na pozostałych, aby temi samemi kierowali się cnotami i miłością Ojczyzny! Ziemia ukochana, niech jej lekką będzie!

R. i. p.



Zdolnych kolporterów

na Górnym Śląsku poszukuje Wydawnictwo „Pracy“.

Zgłoszenia adresować należy: Do Filii Wydawnictwa „Pracy“ w Katowicach (Kattowitz O.-Schl.) ulica Poprzeczna nr. 12 (Querstrasse Nr. 12).

Odezwa

Towarzystwa Samopomocy w Poznaniu.

Reskrypt ministra oświecenia, ograniczający wykład religii św. w języku polskim do najniższych klas, a wykład języka polskiego znoszący doszczętnie, narzucił nam myśl samoobrony. Zwołany w tej sprawie wiec walny dnia 8 września 1900 r. postanowił założyć Towarzystwo Samopomocy, mające na celu nakłanianie rodziców polskich do świętego obowiązku względem swych dzieci, t. j. do uczenia ich czytać i pisać po polsku — oraz dopomaganie im w wykonywaniu tego obowiązku rozdawaniem katechizmów i elementarzy polskich.

Społeczeństwo odczuło potrzebę założenia Samopomocy, to też jego obowiązkiem jest pamiętać o tem towarzystwie, stojącem na straży zagrożonych naszych najdroższych skarbów, zapisywać się na członków, zasilać je czynem, pracując w szeregach jego, ofiarnością przyczyniać się do rozprzestrzenienia książek dla uczącej się dziatwy.

Nie oglądając się na obcą pomoc pamiętajmy więc, że **sami sobie** przedewszystkiem pomagać powinniśmy, że jedynie sami wspólną pracą obronić się możemy.

Ażeby ułatwić zgłaszanie się, tak na członków jak i wskazać rodzicom, do kogo się mają udawać po katechizmy i elementarze polskie, podajemy nazwiska tych członków, którym Zarząd Towarzystwa Samopomocy powierzył opiekę nad poszczególnymi okręgami, **odpowiadającymi podziałowi miasta na urzędowe komisaryaty:**

Okręg 1. pan dr. Gantkowski, Jezuicka ul. nr. 1.
„ 2. pan Krause, Klasztorna ul. 10.
„ 3. (w zastępstwie) pan Przyjemski (księgarnia Cybulskiego) św. Marcin 9.
„ 4. pani dra. Niegolewska Wilhelmowski plac nr. 3.
„ 5. pani Zerbowa, Chwaliszewo 75.
„ 6. pani dra. Stasińska, Piotra pl. 4.
„ 7. pani Noskiewiczowa, Forteczna ulica 35.
„ 8. p. Ofierzyński, św. Łazarska 3.
„ 9. p. T. Gertych, św. Łazarska 33.

Poznań, w październiku 1901.

W imieniu Zarządu

Dr. F. Niegolewski, prezes. *I. Żniński*, sekretarz.

Wiadomości.

— **Smutna rocznica.** Dnia 30-go z. m. w południe upłynął rok od uwięzienia byłego naszego odpowiedzialnego redaktora, sędziwego p. Władysława Siemiątkowskiego. Wzięto go wówczas po terminie z sali sądowej do więzienia. Pan S. ma jeszcze do odsiedzenia cztery miesiące kary więziennej.

— **Do skompletowania** kwartalników potrzebne nam są Nr. 31, 34, 35. 39 i 40 „Pracy.“ Szan. Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam tych numerów, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

— **Sprostowanie** pomyłki w Nr. 43-cim w opisie powiatu poznańskiego zachodniego: Dziedzicem Swadzimia i Sadów jest p. Leon Pluciński, Lusówko pozostaje w ręku wdowy pani Każmierzowej Plucińskiej.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 2-go bm. „Kiejstut“, tragedya w 5 aktach Adama Asnyka z panem dyrektorem Rygerem w roli tytułowej. Wspaniały ten utwór nie potrzebuje chyba dalszej reklamy, to też przekonani jesteśmy, że publiczność w sobotę doszczętnie zapełni widownię. — W niedzielę, d. 3-go b. m. wieczorem po raz pierwszy nowość ostatniego sezonu letniego: „Pracownice igły“, melodramat ze śpiewami i tańcami, w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego. Zajmująca wielce treść niedzielnej premiery oraz ładna muzyka sprawiły, że ją grano w Warszawie kilkadziesiąt razy z rzędu z niesłychanem powodzeniem, którem i u nas zapewne cieszyć się będzie.

W niedzielę po południu o godzinie 3 po cenach do połowy zniżonych piękna opera narodowa z tańcami p. t. „Zababon czyli Krakowiacy i Górale.“

Niemiecki teatr „Ueberbrettl“ przybył 1-go listopada do Poznania. Ufamy, że polska publiczność nie zapomni o tem, iż nasz teatr polski niestety często świeci pustkami i dla braku poparcia rozwinąć się nie może.

Unikajmy wszelkich „Ueberbrettlów“, ,,Stadtteatrów'' i różnych ,,Tingel-tanglów“, jeżeli chcemy w dzisiejszym czasie srogiego prześladowania i bojkotowania wszystkiego, co polskie, uszanować naszą godność narodową. Więc szanujmy się sami i nie chodźmy tam, gdzie często nas i naszą narodowość wyszydzają, wyśmiewają, zohydzają.

— **Nowy dom** dla towarzystw w Poznaniu przy kościele podominikańskim otwarty został uroczyście ubiegłej niedzieli. Najprzew. Ksiądz Arcypasterz, który przybył w asystencyi księdza kanonika Echausta i szambelana posła Stefana Cegielskiego, w dłuższej przemowie wyraził nadzieję, że nowy ten dom stanie się przybytkiem wstrzemięźliwości. Księdzu Arcybiskupowi dziękował ksiądz poseł Stychel, poczem wzniesiono sześciokrotny okrzyk na cześć księdza Arcybiskupa.

— **Z Towarzystwa Przyjaciół Nauk.** Wydział przyrodników Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbył w piątek, 25 października posiedzenie, 1-e w tem półroczu, a 6-e w ciągu roku.

Po wspomnieniach o niektórych darach do muzeum przyrodniczego, złożonych już w niem, jako to czaszek ludzkich i szczątków dużych zwierząt zaginionych, które nam się dostały z muzeum archeologicznego, czaszki ofiarowanej przez p. prof. Jaroszyńską, różnych skamielin z Poznańskiego pochodzących, przedstawił dr. F. Chłapowski i kilka darów mniejszych, jak nasiona różne ciekawe, ofiarowane przez p. szambelanową Stablewską; jak różne grzyby krajowe zachowane w spirytusie; jak gałki kosmate z głogu, utworzone skutkiem ukłucia pączka i złożenia w nich jajek przez błonkówkę Rodites Rosae, do galasówek (Cynipides) należącą; jak wreszcie zbiorek przedstawiający rozwój prządki mniszki i t. d.

Następnie po przeczytaniu i przyjęciu protokułu z ostatniego posiedzenia, wygłosił przewodniczący wspomnienie pośmiertne, poświęcone ś. p. Marcelemu Nenckiego, który był członkiem honorowym naszego Towarzystwa i zmarł 14-go października w Petersburgu, a pochowany został w Warszawie.

W odczycie tym, który w streszczeniu umieszczonym będzie w „Nowinach Lek.“ — podanych było kilka szczegółów nowych z lat pobytu Nenckiego w Berlinie na uniwersytecie, tłomaczących, jak i dlaczego z filologii przerzucił się na medycynę, a potem na chemią. Następnie wymienione zosłały główne zasługi Nenckiego w dziedzinie chemii organicznej i fizyologicznej, oraz w bakteryologii. — Jako wielką zasługę poczytano mu także fakt, że zawsze rad był otaczać się asystentami — rodakami i że przyczynił się do utworzenia zastępu znakomitych pracowników na polach przezeń opracowanych. Obecnie, rzec można, udział Polaków w postępie chemii jest znacznie większym, aniżeli w jakiejkolwiek innej gałęzi naukowej.

Po krótkiej dyskusyi, jaką ten wykład wywołał, zajęto się sprawami wydziałowemi.

Utworzono też komisyą, mającą się zająć projektem pomnika dla ś. p. X. Józefa Rogalińskiego, w której skład weszli prócz członków biura wydziałowego, pp. Borecki, St. Mieczkowski, F. Zakrzewski i Zeyland.

L. Eckert, sekretarz.

— **Odbieramy pismo następujące:**

Trzydzieści kilka lat temu śp. ks. Franciszek Bażyński, proboszcz ówczesny parafii św. Wojciecha w Poznaniu, gorący patryota i przyjaciel ludu, widząc, jak wielki jest brak polskich dziełek, któreby ludowi naszemu z korzyścią do rąk dać było można, z pomocą kilku osób, pokrewnych sobie duchem, powołał do życia wydawnictwo, które jak z wyników jego osądzić łatwo, wielkie społeczeństwu naszemu oddało przysługi. Kilkadziesiąt tomików prac wyborowych tak pod względem treści jako i formy, rozeszło się w dziesiątkach tysięcy po całym kraju, szerząc wszędzie światło wiedzy i budząc zamiłowanie do mowy naszej ojczystej.

Pod koniec życia wielki ten miłośnik ludu polskiego powierzył losy tak pożytecznego dzieła swego śp. Władysławowi Simonowi do spółki z śp. dr. Ludwikiem Rzepeckim i śp. ks. dr. Kanteckim, który jednak, obarczony obowiązkami zawodowemi oraz innemi pracami społecznemi cofnął się rychło od udziału. Wydawnictwa dalszego, na którem, jako zaczętem bez kapitału, ciążyły rozmaite zobowiązania finansowe, podjął się głównie śp. dr. Rzepecki, prowadził je umiejętnie w nakreślonym z góry kierunku aż do przedwczesnego zgonu swego, pospłacał długi i pozostawił jeszcze do dalszej dyspozycyi jakie trzydzieści tysięcy książeczek.

Sp. Władysław Simon, pozostały sam przy życiu z owej trójcy, która myśl śp. ks. Fr. Bażyńskiego dalej prowadzić się podjęła, obarczony wiekiem i chorobą oczu, przelawszy obowiązki swe na syna Wojciecha, poprosił do udziału i pomocy nas niżej podpisanych, pozostawiając nam do decyzyi dalsze losy wydawnictwa. Wkrótce po tem

rozporządzeniu powołał Bóg do siebie sędziwego starca, a w lat kilka poszedł za nim syn jego śp. Wojciech, który z rzadką gorliwością sprawami wydawnictwa się zajmował.

Po dokładnem rozpatrzeniu się w położeniu naszem politycznem i społecznem, widząc z jednej strony, że liczne czasopisma codzienne i peryodyczne oraz częste nakłady prywatnych wydawców starają się zaspokajać potrzeby umysłowe szerszych warstw społeczeństwa naszego, — że zwłaszcza Tow. Czytelni Ludowych zapewnia zbyt wszelkim dziełkom pożytecznym, widząc zarazem z drugiej strony z bólem serca, że przez znikanie znaczniejszych polskich fortun byt wydawnictwa filantropijnego staje się zagrożonym, — widząc wreszcie i to, że bez znaczniejszych kapitałów, a przedewszystkiem bez własnej drukarni podołać dziś niełatwo prywatnej konkurencyi: postanowiliśmy wydawnictwa dalszego zaprzestać, rozporządziwszy zebranym funduszem i pozostałemi dziełkami w następujący sposób:

I tak z przekazanych nam po śmierci ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego 29,640 dziełek rozdzieliliśmy pomiędzy najuboższych ku zaspokojeniu głodu duchowego 19,300 egzemplarzy i to dla rodaków w Ameryce za pośrednictwem księdza prałata Wawrzyniaka 10,200 książeczek, dla Towarzystwa Czytelni Ludowych 8,500 egzemplarzy, dla innych Towarzystw około 700 egzemplarzy. Zebrany ze sprzedaży reszty dziełek kapitalik wynoszący 1250 m. ofiarowaliśmy Towarzystwu Czytelni ludowych jako *„fundusz Im. ks. Franciszka Bażyńskiego.“*

Nie odebrawszy nigdy wsparcia materyalnego, czy to od społeczeństwa, czy od osób prywatnych, nie mamy obowiązku składania publicznego sprawozdania z swej czynności; zabierając dzisiaj głos, czynimy to głównie w tej myśli, aby przy rozwiązaniu Wydawnictwa uczcić choć w ten sposób pamięć zgasłych mężów, którzy tyle zasług dla oświaty ludu naszego położyli.

Ksiądz *Laskowski*,
prob. przy św. Wojciechu
w Poznaniu.
Karol Kozłowski.

— **Zwracamy** uwagę na inserat Banku Parcelacyjnego w Poznaniu, dotyczący parcelacyi wsi Zieliniki pod Środą. Warunki kupna dogodne.

— **Pierwszy polski** specyalny magazyn urządzeń kuchennych p. J. Szczepańskiego w Strzelnie przy narożniku rynku polecamy względom Szanownych Czytelników. (Patrz inserat.)

— **Pan Władysław Hahn** w Poznaniu przy Starym Rynku poleca wielki wybór tapet, rozet, artykułów męskich, damskich oraz bielizny po rzetelnych i tanich cenach. Przedsiębiorstwo to naszego rodaka polecamy względom Szanownych Czytelników.

— **Panom budowniczym**, cieślom, stolarzom i t. d. polecamy parową fabrykę obróbki drzewa oraz handel drzewa i interes budowlany p. K. Frankiewicza w Poznanin przy ulicy W. Berlińskiej nr. 23 (Jeżyce).

— **„Italia.“** W dzisiejszych ciężkich i krytycznych czasach, kiedy przemysł nasz natrafia na najrozmaitsze przeszkody i trudności w dalszym rozwoju, miło jest zaznaczyć powstawanie przedsiębiorstw polskich, opartych na gruntownej znajomości fachowej i zdolnych współzawodniczyć z najlepiej urządzonemi przedsiębiorstwami zagranicznemi. — Do takich zaliczamy fabrykę makaronów „Italia“, (patrz anons), która jest jedynem u nas przedsiębiorstwem tego rodzaju, znajdującem się w polskiem ręku, i która zdobyła sobie w krótkim stosunkowo czasie doskonałością swych wyrobów ogólne uznanie. Takie właśnie wzorowo prowadzone przedsiębiorstwa nasze cieszyć się powinny poparciem szerokich kół naszej publiczności. Makaron czysty, składający się, jak wiadomo, z najlepszej mąki, kaszek i jaj, jest pożywieniem zdrowem, posilnem i łatwem do sporządzania. Jeżeli u nas tak mało jest jeszcze rozpowszechniony, tłomaczy się to lichotą wyrobów, jakie do nas częściowo z zagranicznych i obcych fabryk napływają. Mamy jednak nadzieję, że publiczność nasza, zapoznawszy się z wyrobami fabryki „Italia“ nabierze odmiennego przekonania o wartości makaronu, jako codziennego pożywienia, popierając przemysł rodzimy, odda zarazem własnemu zdrowiu najlepszą przysługę, używając pożywienia smacznego i sanitarnego. W tym celu firma „Italia“, ażeby ułatwić odbiorcom zapoznanie się z wszelkiemi rodzajami swoich wyrobów, otworzyła przy ul. Szkólnej Nr. 15. w narożnej kamienicy ulic Nowej i Szkolnej przy wejściu do rynku skład hurtowny i detaliczny.

— **Pierwszorzędny warszawski** magazyn obuwia p. M. Jóźwiaka, następcy po śp. Fr. Andrzejewskim, w Poznaniu przy ulicy św. Marcina 68, poleca najlepsze obuwie tak męskie jak też damskie wszelkiego rodzaju.

— **„Pasieka“**, pismo pszczelnicze, wychodzące piąty rok nakładem drukarni Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu, poleca się sama doborem rozpraw na polu pszczelnictwa. Polecamy je gorąco naszym czytelnikom pszczelarzom, a mianowicie włościanom, którzy za tani grosz znajdą w tem piśmie wiele wskazówek, jak pszczoły hodować należy, aby pożytek przynosiły. Na poczcie „Pasiekę“ zapisywać można w cenie po 50 fen. kwartalnie. Niechaj zatem nikt nie zaniedba korzystania z tak taniego, a pożytecznego pisma. — Wyszedł nr. 10 „Pasieki“ i zawiera następujące artykuły: 1) Gospodarka pasieczna (ciąg dalszy). 2) Kilka słów o podstawie ramkowej przy koszkach. 3) W którą stronę obracać wylotek? 4) Kilka praktycznych środków wychowania pnia do spotęgowanej pilności. 5) Sprzedaż miodu wprost kupcom hurtownym (ciąg dalszy). 3) Wspomnienia z mojego życia (ciąg dalszy). 7) Pytania i odpowiedzi. 8) Ogłoszenia.

— **„Przewodnika zdrowia“** nr. 10 na październik (Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Promieniowanie elektryczne ciała ludzkiego. (Z szeregiem zdjęć fotograficznych prof. Jodko-Narkiewicza). — Jak usuwać szybko różne cierpienia działaniem ręcznem. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

— **Pan P. Rutkowski**, nauczyciel języków i dyrektor szkoły handlowej w Berlinie przy Inwalidenstrase 35 udziela w swej szkole handlowej lekcyi w językach: polskim, niemieckim, francuskim, angielskim, rosyjskim, oraz buchalteryi, korespondencyi, kaligrafii i rachunkowości. Przysposabia jednocześnie do egzaminu jednorocznego. (Patrz ogłoszenie.)

— **Pan Wincenty Mroczyk** w Nakle, w rynku, poleca względom Szanownej Publiczności swój bogato zaopatrzony skład garderoby gotowej mężkiej i dla chłopców. Pan Mroczyk ma wielki wybór sukna krajowego i zagranicznego.

— **Apteka** H. Smyczyńskiego w Nowem (Neuenburg W. P.) poleca pewne i nigdy niezawodne, niejednokrotnie wypróbowane środki przeciw zastarzałym chorobom, ranom., niedomaganiom it. Odnośny anons poinformuje bliżej Szanownych Czytelników o poszczególnych środkach leczniczych.

— **Ślub.** We wtorek, dnia 22 października b. r., pobłogosławiony został związek małżeński w Sulmierzycach w kościele parafialnym pomiędzy p. Władysławem Koralewskim z Gorzyc w dobrach Miłosławskich a panną Stanisławą Gieburowską ze Sulmierzyc. Aktu ślubnego dopełnił ks. dr. Gieburowski, brat panny młodej, w asystencyi miejscowego proboszcza ks. Radońskiego.

Młodej parze szczęść Boże!

— **Wola p. Kłeckiem**, dnia 23 października 1901. Folwark po p. Thiel w sąsiedniej wsi Polskawieś rozparcelował Bank Parcelacyjny w Poznaniu na Piekarach Nr. 18 w ten sposób, że p. Roman Hofman z Kłecka nabył oberżą, a znany, jako agronom dzielny, pan Stanisław Koszczyński kupił resztkę (Restgut).

Jak się dowiaduję, kupuje wspomniany Bank piękne z 3476 mórg się składające dobra Procyn pod Gembicami od pana Hermana Schneidra i zamyśla je niebawem parcelować.

Nie będzie od rzeczy donieść szerszej publiczności, a mianowicie reflektantom, że pp. landraci przysyłają na termina parcelacyjne żandarmów nibyto, aby udzielić reflektantom rady. Słyszy się to tak niewinnie we wyrokach sądów administracyjnych, które zostały spowodowane skargą o odszkodowanie za przeszkadzanie w interesie, lecz w rzeczywistości tak nie jest, bo w wielu miejscach ludzie nasi odstraszają się przez samą obecność żandarma, co nawet czasami rozbicie parcelacyi całej pociąga za sobą. Byłem naocznym świadkiem, że nie wszędzie się ten w umysłach hakatystowskich wymyślony eksperyment udaje, bo dziś już nasi ludzie wiedzą, co znaczy to opiekuństwo i nie dadzą się zrazić groźbami, że landrat konsensów na pobudowanie się nie da, boć każdy z nas wie, iż w złączeniu t. j. o 100 metrów od już stojących budynków budować można i choć pp. komisarze odnośnie landraci robią kluczki, to w ostatniej instancyi sprawiedliwość wymierzoną zostanie, trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość i z góry sobie powiedzieć: potrwa to kilka miesięcy, ale wytrzymam!!

S. W.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Towarzystwo** Gimn. „Sokół“ w Śremie urządza w niedzielę, dnia 3-go listopada 1901 na sali hotelu Victoria wieczornicę z wielce urozmaiconym programem. Początek o godz. pół do 8mej. Na zakończenie zabawa z tańcami. O liczny udział uprasza Wydział.

— **Kostrzyn.** Dnia 10-go bm. odbędzie się w mieście naszem na sali p. Kietzmanna teatr amatorski. Dochód przeznaczony na zakupienie harmonium dla Towarzystwa chóru kościelnego. Odegrane będą: „Onufry“, komedya i „Wesele na Prądniku“, obrazek wiejski. Początek przedstawienia o godzinie 8-mej. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

— **Towarzystwo** gimn. „Sokół“ w Gnieźnie urządza w niedzielę, dnia 3-go listopada r. b. na sali hotelu Europejskiego (Koschnicke) wieczornicę. Program urozmaicony. Początek punktualnie o godz. $7^1/_2$ wieczorem. O jak najliczniejszy udział prosi Szanowne Obywatelstwo

Wydział.

Od Redakcyi.

P. Antoni Bischoff, Chełmno. Nr. 24—27 „Pracy“ wyczerpane.

N. X. w B. — Poczta numer ten otrzymała.

P. Begale, Racibórz G. Śl. — Wyczerpane.

P. W. Wapnisiak, Rąbin. — „Pasieka“ wychodzi w Poznaniu w drukarni „Wielkopolanina.“ — Po książkę zgłoś się Pan do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

P. M. Ratajczak, Lwów. — Prosimy o dokładne podanie adresu, a początek powieści wyślemy. — Numer 21 wyczerpany.

P. Piotr Mureh, Groszowice. — I. kwartalnik „Czytelni Polskiej“ z b. r. wyczerpany.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Tablety „Norma“
najskuteczniejszy, najnieszkodliwszy, najtańszy środek przeciw
bólowi głowy, migrenie.
Cena 1 mk. we wszystkich aptekach lub wprost od
apteki nadwornej,
Poznań, ul. Wilhelmowska nr. 24.
Skład: Kofeina 0,05, chinina 0,15, ammonbromid 0,075, kwas salicylowy 0,075, cukier i kakao po 0,2. 705

Ucznia
do handlu drogeryj. przyjmie
Wł. Lompa,
Śrem. 750

Krzyże, kropielniczki, lichtarze, obrazy, książki do nabożeństwa — kalendarze.

Polski pierwszy specyalny magazyn
urządzeń kuchennych
założony w r. 1888.
J. Szczepański,
Strzelno, narożnik rynku
poleca wszelkie praktyczne kuchenne i domowe sprzęty, lampy stołowe i wiszące znajnowszemi patent. palaczami, szkło i porcelanę, towary stalowe, żelazne i galanteryjne, łóżka żelazne wyściełane i zwyczajne, konwie i sita do mleka, stągwie do wody, maszyny do prania i wyżdżymania bielizny, aparaty do nafty, umywalki, klozety, wanny kąpiel., filtry do wody itd. ceny jak najtańsze.

Sakiewki, grzebienie, szczotki, pędzle, zabawki dla dzieci, scyzoryki, brzytwy. 768

679

Kamienica
położona w Czempiniu przy ulicy kolejowej nr. 48, z lepszemi pomieszkaniami, jest z wolnej ręki do sprzedania. Bliższych wiadomości udzieli
Meissner,
adwokat w Kościanie.

1000 mrg.
jezioro,
jest natychmiast na sprzedaż, gdzie wskaże eksp. „Pracy“ pod nr. 741.

Elew
z odpowiedniem wykształceniem znajdzie natychmiast posadę ***na dobrych warunkach*** w
Księgarni Katolickiej
Antoniego Stoca
w Katowicach na Górnym Szląsku przy ulicy Poprzecznej nr. 12. naprzeciwko teatru „Apollo“. 753

Dla czego cierpimy?

mając pewne i nigdy niezawodne, niejednokrotnie wypróbowane środki przeciw wszelkim a nawet zastarzałym chorobom, ranom, niedomaganiom itp. itp. i jako to zewnętrznie:

Na ból głowy, migraenenthol, do nacier. głowy i skroni but. 1,50 m.
Na odciski balsam radykalny z pędzlem 60 fen.
Na parchy balsam but. 2,00 m.
Na piegi balsam wyskok., 2,50 m.
Na podagrę i rwanie w kościach, wzmacniający expeller but. 1,00 m.
Na psucie się zębów woda i pasta cukalyptusowa, zapobiegające wszelkim pruchnieniom, razem 2,50.
Na porost włosów, pod gwarancyą jedyny środek, but. 2,00 m.
Na przeczyszczenie krwi, herbata i krople do picia przeciw wszelkim wyrzutom skórnym 2,00 m.
Maść na wyrzuty skórne i proszek razem 1,50 m.
Na rupturę opaski 2—4 m.
Na reumatyzm, ruski spirytus do nacierania i do picia razem 3 m.
Na siwizne płyny, nadające włosom ciemny kolor 2 m.

poleca 776
apteka H. Smyczyńskiego
w Nowem. (Neuenburg W|Pr.)
Zamówienia pocztowe wysyłam odwrotnie od 5 m. franko.

Wiele 1000
cierpiących na kaszel i płuca zawdzięcza swe ocalenie mej słynnej na świat cały kuracyi t. zw.
American coughingcure.
Kaszel i wyrzucanie flegmy ustaje już po dniach kilku, tysiące osób wyzdrowiało. Katar, chrypka, zaflegmienie i świerzbienie w gardle ustają natychmiast Cena za flaszkę 2,50 m., za 3 flaszki 6 marek za zaliczką lub też poprzedn. nadesł. pieniędzy. Niezamożni otrzymają preparat za pośw. władzy miejsc lub też księdza za połowę ceny.
Skład generalny: **Oskar Lutze.** Berlin — Reinickendorf (West). 658

Meinel & Herold
Harmonikafabrik
Klingenthal (Sachsen) Nr. 181
versend. pr. Nachn. anerkannt solide **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur, **verbess. Stahlfederung,** 3thl., (11flt.) Doppelbalg m. best. Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässen

10 Tast.,	2chör.	2 Reg.,	50 Stim.	M.	**5.—**
10 „	3 „	3 „	70 „	„	**7.50**
10 „	4 „	4 „	90 „	„	**9.50**
21 „	2 mal 2chör.,		108 „	„	**11.—**

Schule, Kiste umf. Port. extr. And. Harm. (**85** versch. Nr.) bill. **Illustr. Catalog frei.** Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt. zu verwechseln. Garantie: Zurücknahme u. Geld retour.
Ueber 3000 Dankschreiben.

Przyjmuje
panów
na stancyę.
Wiedeńska ulica nr. 4.
III p. na prawo. 728

Poszukuję 737
ucznia
z dobrego domu.
M. Stankowski,
zegarmistrz — Ostrów.

Napisane przez
Annę Hein,
dawn. wyższą akuszerkę przy położniczej klinice w król. Charité w Berlinie
„Frauenschatz“
(Skarb dla kobiet)
wys. za 50 f. w. mark. poczt. dom wys. art. hyg. pani **Anny Hein,** Berlin S. 151, Oranienstr. Nr. 65

642

Konfekcya
męzka i dla chłopców
S. Święcicki, Poznań
Fryderykowska ul. 33,
obok sądu nadziemiańskiego.
773 Wykonywanie
modnej garderoby męzk.
podług miary.

Zdolnych
kolporterów
na Górnym Śląsku
poszukuje
Wydawnictwo „Pracy.“
Zgłoszenia adresować należy: „Do Filii Wydawnictwa „Pracy“ w Katowicach (Kattowitz). O/S. ul. Poprzeczna (Querstrasse) nr. 12.

Dobrze śpiewające
kanarki
poleca po tanich cenach
Bronisław Heimrath
Jeżyce, 769
ulica Jadwigi 5.

Ucznia
przyjmie do introligatorni od zaraz lub później
Bogdan Kiełmiński,
introligatornia i drukarnia
w Gostyniu. 767

Pianina
i
harmonia
kupuje się dobrze i tanio u
L. Zipperta,
Gniezno, Rynek nr. 6.
Wpłaty częściowe uwzględnia się. Cennik franko. 751

W większem mieście 6000 mieszkańców, gdzie jest gimnazyum, jest w rynku
dom
z ogrodem
do każdego interesu zdatny za 13,000 mk. do nabycia, zaliczki potrzeba 6000 mk. Zgłoszania przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **J. Z. T. nr. 735.** 735

Korzystne kupno.
Folwark, przeszło 300 mórg oprócz wody wielkiej w okolicy Gniezna, z młynem i tartakiem, mogącym być pędzonym i wodą i parą — z dobrymi budynkami pełnym inwentarzem etc. jest do sprzedania. Bliższe wiad. udzieli: I. M. postlagernd Gnesen. 779

Skład
w którym przez 7 lat znajdowała się z dobrem powodzeniem fabryka cukierków jest od zaraz do wydzierżawienia, ponieważ dotychczasowy dzierżawca się okupił. 754
P. Ekowska,
Inowrocław, Fryderykowska ul.

Poszukuję
2 zdolnych
czeladzi
na stałe zatrudnienie. Płacę od pary męzkich 3 marki od damskich 2 marki.
M. Muszyński,
Gostyń, 763
skład i pracownia obuwia.

Handel tow. kolonialn. i restauracyą z wyszynkiem oraz zajazdem w kamienicy mojej przy ulicy Fryderykowskiej naprzeciw sądu jest od zaraz evtl. od 1 Stycznia do wydzierżawienia.
P. Ekowska,
Inowrocław. 755

Przyjmię 780
Panów
na stancyę
ze stołowaniem lub ciepłą kolacyą. 770
M. L.
Ogrodowa ul. 13.
w podwórzu I piętro.



Przeszło 500 pracowników.

Chcesz pan palić co dobrego?
to polecamy mu

„Salem Aleikum" papieros czysto turecki i pod gwarancyą ręcznego wyrobu.

Papierosy te sprzedaje się tylko luźno, bez korkowego i złotego mundsztuku. Kupując ten **w y r ó b**, jesteś Pan pewien, że płacisz za **j a k o ś ć** a nie za **w y r ó b**. Numera na papierosach oznaczają ich cenę.

Nr. **3**: kosztuje **3** fen., Nr. **4 : 4** fen., Nr. **5 : 5** fen., Nr. **6 : 6** fen., Nr. **8 : 8** fen., Nr.**10 : 10** fen. sztuka.

Tylko wtenczas prawdziwe, jeżeli na papierosie cała firma podana:

Wschodnia fabryka papierosów i tabaki „Yenidze" w Dreznie.

„Salem Aleikum" jest prawnie zastrzeżone. Przestrzega się przed podrabianiem
335 **Do nabycia w składach cygar i papierosów.**

Wieś naszą

Zielniki,

tuż pod Środą, rozpoczynamy

parcelować

i zastaną reflektanci jednego z dyrektorów z miernikiem już od 4-go listopada przez cały tydzień na miejscu. Zielniki mają *tylko* pszenną ziemię po obu stronach szosy leżącą. Restgut będzie prawdopodobnie tylko 400 mórg. Na wyjątkowo dobrej tej glebie — jak wiadomo — mróz tegoroczny żadnej szkody nie wyrządził. Warunki kupna znane i dogodne. Na życzenie Szan. reflektantów, którzy koleją przyjeżdżają, wysyłamy powózki nasze na dworzec o każdej porze.

Adres: 770

Bank Parcelacyjny in Posen.

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon.

Rozety i drążki do firan.

Artykuły męzkie.

Kapelusze Krawaty



Rękawiczki Bieliznę

poleca

W. HAHN

(właśc. Wład. Hahn) 772

Poznań, Stary Rynek nr. 55.

Książęcy tartak parowy

w Antoninie

(stacya poczty i koleji) ma na sprzedaż kilka tysięcy kwadratowych metrów 766

suchych sosnowych desek podłogowych

1" i $^5/_4$" grubych i dostarcza także na żądanie

gotowe podłogi heblowane i fugowane

w większych i mniejszych ilościach po tanich cenach.
Zamówienia do zarządu tartaku w Antoninie pod Ostrowem.

Szkoła handlowa

udziela lekcyi w językach: polskim, niemieckim, francuzkim, angielskim, rosyjskim, oraz buchalteryi, korespondencyi, kaligrafii, rachunkowości. Korepetycyi dorosłym i dzieciom. Przysposabia jednocześnie do egzaminu jednorocznego. Ceny bardzo umiarkowane, na żądanie ze stancyą.

P. Rutkowski,
nauczyciel języków i dyrektor szkoły handlowej,
Berlin N., Invalidenstr. 35. 774

Założony 1872. Założony 1872.

Warszawski Magazyn Obuwia

Poznań, św. Marcin 68. Poznań.

F. Andrzejewski Następca

M. Jóźwiak

poleca

Specyalność: **Obuwie salonowe.**

Obuwie spacerowe, ranne, zimowe ciepłe na korkowej podeszwie, buty długie, nieprzemakalne do gospodarstwa, znane jako lekkie, dogodne i trwałe. Przewielebnemu Duchowieństwu zwracam uwagę na mój zgrabny i dogodny krój kanonów.

Wincenty Mroczek

Nakło, Rynek

poleca swój bogato zaopatrzony 775

skład gotowej garderoby męzkiej

i dla chłopców.

Także **kolosalny wybór sukna** krajowych i zagranicznych fabryk. **Zamówienia** wykonuję szybko i tanio.

Handel kolonialny i cygar

z sprzedażą alkoholów w flaszkach

w najlepszem położeniu, narożnik najgłówniejszej ulicy przyłączonej dzielnicy Poznania pod bardzo korzystnemi warunkami z powodu śmierci od ile możności zaraz do objęcia.

Oferty uprasza się pod lit. F. S. do eksped. „Pracy" w Poznaniu.

Lis młody i stary.

Młody lis, nieświadomy myśliwych rzemiosła,
Cieszył się, że szerść nowa na zimę odrosła.
Rzekł stary: Takie rzeczy miej zawsze w pogardzie
Czy brzydszy, czy piękniejszy, wżdy spoczniesz...
[w lombardzie.

Plany sytuacyjne i niwelacyjne

jako też wszelkie materyały potrzebne do uzyskania subwencyi z kas prowincyonalnych i rządowych przy ulepszeniu i brukowaniu dróg, drenowaniu pól, zakładaniu zagajeń, oraz wszelkie prace miernicze i melioracyjne wykonuje

A. Jaks,

mierniczy przysięgły i inżynier kultury
w Pile (Schneidemühl).

NB. Pomiary i podziały lasów, parcelacye pól i łąk celem wydzierżawienia w małych obszarach, podział na półka (szlagi) celem zaprowadzenia prawidłowego gospodarstwa etc. bardzo tanio!

Tanio do nabycia:

2 *Młockarnie* 18 i 20 cali szerokie, jedna kolcowa, druga cepowa. 643
2 *parowniki* do przewracania.
2 *Tryery* z cylindrami niżej ceny fabrycznej.

Zgłosz. do **J. Popławskiego**, św. Marcin 64. Skład maszyn do szycia i welocypedów.

Farbiarnia
i chemiczna pralnia

Dr. A. Seydy

(dawn. Gustaw Schaer)
w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.
Skład św. Marcin 14,
poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Proszę czytać!!

Biuro moje pod firmą

„Justitia"

założone od 5 lat znajduje się

Wiedeńska ul. nr. 8 I ptro.

Pośredniczy w wszelkich sprawach — ma wielki wybór służby dworskiej, dobrze poleconych i proszę o łaskawe zlecenia i poparcie mego interesu.

I. N. Szulc. Weteran 63 r.

Lichy dar.

Lichy to dar
Słomiany żar;
Gaśnie — miast rość,
A po nim — czczość!

Artykuły kanalizacyjne

cementowe względnie żelazne, mianowicie guliki podwórzowe, domowe i kuchenne, zastósowane do gulików w ulicach podług patent. systemu Geigera, ma zawsze na składzie 516

A. Krzyżanowski,

Poznań, ulica Piaskowa nr. 10.

Fortepiany
i
harmonia

685

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym tonie, nowe i używane, poleca tanio

A. Drygas,

Rycerska ul. 33,
narożnik św. Marcina.

Kto
dostawić może

ser w gomułkach lub twaróg i w jakiej ilości.

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. T. nr. 714. 714

„Drukarnia Pracy“

Telefon 1246. **Poznań, Rycerska 38** Telefon 1246.

wykonuje

szybko i gustownie po cenach nader przystępnych

wszelkiego rodzaju druki

od pojedyńczych do najozdobniejszych, w jednym lub więcej kolorach,

a mianowicie:

Gazety, dzieła, broszury; druki kościelne, urzędowe, gospodarskie, handlowe, bankowe, dla Spółek pożyczkowych, hotelów i restauracyi;
cenniki, rachunki, karty pocztowe, listy i koperty z firmą, etykiety;
karty wizytowe i polecające; uwiadomienia zaręczynowe i ślubne;
illustracye; dyplomy, powinszowania, adresy na jubileusze; listy żałobne i koperty;
serwety i karty obiadowe; plakaty, programy i t. d.

Amatorom i znawcom

polecam wyborne aromatyczne

papierosy

własnego wyrobu:

Fortuna mocne	po Mk.	2,—	za setkę
Nadwiślańskie	„ „	2,—	„
Fortuna łagodne	„ „	1,75	„
Surprice	„ „	1,50	„
Ewunia	„ „	1,50	„
Surprice lekkie	„ „	1,50	„
L'Esperance	„ „	1,25	„

Stefan Łukomski w Chełmży (Culmsee W.P.)
Wysyłkowy interes papierosów, cygar i tytuni rosyjskich.
Wszelkie przesyłki uskuteczniają się franko.

746

Eliksir młodości.

Choć mknie powódź wynalazków, jakby z rogu obfitości;
Któż dostarczy, mimo wrzasków, eliksiru nam — młodości.

Kawaler 28 lat liczący, przemysłowiec i właściciel dobrze prosperującego interesu, który obrotu ma do 18,000 mk., szuka dla braku znajomości pań

towarzyszki życia.

Panienki do 25 lat wieku zechcą w celu bliższego zapoznania się swe oferty wraz z fotografią do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. L. M. nr. 742 nadesłać. Za dyskrecyą ręczy się słowem honoru, na anonimy nie odpowiada się. 742

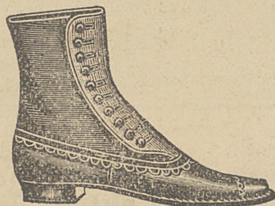
Kawaler, przystojny lat 30 kupiec, właściciel dobrze prosperującego interesu zbożowego, poszukuje stosownej 765

żony.

Panny z odpowiedniem wykształceniem zechcą łaskawie oferty swe przesłać pod lit. M. K· Hauptpostlagernd Posen. Dyskrecya rzecz honru.



M. Dzień dobry sąsiedzie.
S. A, witam, witam.
M. Czy idziesz na przechadzkę co?
S. Nie! ale do **Białasa** przy Wrocławskiej ul. 2 kupić sobie zegarek.
M. To pójdziemy razem, bo ja sobie kupię okulary i kolczyki dla córki.
S. Mówią, że tylko od **Białasa** zegarki dobrze chodzą.
M. Cenniki illustrowane wysyła p. **Białas** na prowincyę darmo i franco.
S. To też podam adres do mego znajomego, może co sobie od **Białasa** każe przysłać. 675



720

Obuwie Kalosze Bambosze

sprzedaje najtaniej

St. Kruk.

Kramarska 10,
naprz. wdowy Scherek.



Biura

wszystkich adwokatów

w Poznaniu będą od 2 listopada r. b. **w każdą sobotę po południu zamknięte, natomiast będą otwarte aż do godziny 2-giej po południu,** nie jak dotychczas do godziny 1-szej. 771

Adwokaci w Poznaniu.



K. Frankiewicza

w Poznaniu, ulica W. Berlińska nr. 23
parowa fabryka obróbki drzewa
oraz
handel drzewa i intereres budowlany.

Nadmieniam, iż mam zawsze na składzie

gotowe podłogi,

wszelkiego rodzaju

lisztwy profilowane, wyłogi do drzwi, żaluzye do okien wystawnych, lisztwy dla dekarzy, poręcze do schodów.

dębowe, sosnowe i olszowe

szczeble toczone

w najrozmaitszym wyborze.

Zarazem polecam się do wszelkich robót **z dostarczonego materyału.**

Mam także na składzie

wszelkie drzewo budulcowe i dla stolarzy.

Urządziwszy fabrykę moją podług najnowszych na tem polu ulepszeń, jestem w możności w krótkim czasie wszelkim wymaganiom zadość uczynić. 325

Moją zasadą jest: **Wielki obrót — mały zysk!**

Przy każdem zakupnie oszczędność!

Kolosalne składy umożliwiają olbrzymi wybór! Zadawalają każdy gust!

Czysto lniane obrusy Jaquard szt. 1,95
50/110 „ ręczniki „ „ 0,42
Zgrzebne ręczniki sztuka 0,21
Kuchenne „ szt. 13, 18, 25 fen.
Obrusy do kawy sztuka 58, 88, 1,15.
Kratkowane poszewki,
pyszny deseń, metr 25, 32, 42 fen.
Prześcieradła obrąb. szt. 0,88, 1,28, 1,70, 2 mk.
Barchan na koszule metr 25, 32, 44
„ Velour gustowne desenie, metr 29, 36, 44

Bielizna, trykoty, pończochy, rękawiczki, fartuchy, spódnice.

Przy zakupnie
materyi na suknie
proszę sobie kazać przedłożyć:

1) **Alz. kamgarnowy cheviot** — **0,98** mk. za mtr.
z wybor. czystej wełny, czarny i w każdym kolorze, 95/100 cm. szer.
Najmniejszej wartości 1,50

2) **Alz. Diagonal-cheviot** — **1,25** mk. za mtr.
niedozniszczenia, czarny i w każdym kolorze, 110/112 cm. szeroki,
Najmniejszej wartości 2,00

3) **Alz. Cheviot-Amazone** — **1,45** mk. za mtr.
eleg. i połyskujący towar, wielki wybór w kolorach, 110/112 cm. szer.,
Najmniejszej wartości 2,20

4) nader elegancki, czysto wełniany
Diag.-Kamgarn-Cheviot — **1,80** mk. za mtr.
kolosalna jakość, 115 cm. szeroki,
Najmniejszej wartości 3,00

Dywany, firany, portyery.
Firany na 1 okno / na 2 skrzydła 1.15, 1.55, 2,75 do 18 mk.
Firany w sztuce metr 5, 13, 26—1,50
Story tiul. szt. 1.63, 1.98, 2.25—9 mk.
Story-Madras kolor. szt. 4.15, 4.68—14,85
Portyery jednoskrzydłowe 1,58, 1.90, 2.25 do 20,00 mk.
Garnitury: 2 Chales i 1 Lambrequin (plusz, Velvet i sukienno-satynowe) garnitur 8,25—60,00 mk.
Dywany: Axminsterskie, pluszowe, Tapistry, Velours, smyrnenskie, imit. perskie i t. d. od 3,85 mk.

Towary jedwabne, aksamity, konfekcya, podszewki, towary krótkie, posamenterye.

Dom towarowy w wielkim stylu. **M. Schneider,** **Poznań Berlińska ul. 19.**
Pomiędzy prezydenturą policyi a polskim teatrem.

S. Neugedachter

Pierwszy interes: **St. Rynek 90.** Drugi interes: **ul. Rycerska 39.**

poleca:

Towary galanteryjne z drzewa:

Klatki z szkłem po 2.50, 3.50, 4.00, 6.00 i 8.00 marek.
Podstawnik do klatki po 3.75, 5.50 i 7.50 mk.
Stoliki do palenia pd 3.50, 4.50, 6.00 do 12.00 mk.
Postumenty do salonu po 2.50, 4.50, 6.00 i 8.00 mk.
Etażerki do książek od 3.50 do 15.00 mk.
Szafki do cygar od 50 fen. do 20.00 mk.
Apteczki domowe od 4.00 do 20.00 mk.
Deski panelowe po 0.50, 1.00, 2.00, 4.00, 6.00 i 10 mk.
Wieszadła do ręczników po 0.50, 1.00, 2.00, 3.00 i 4.00 mk.
Konsole po 0.25, 0.50, 1.00, 2.00 i 3.00 mk.
Pudełeczka do szycia i do grzebieni po rozmaitych cenach.
Lusterka toaletowe od 1.00 do 12.00 mk.

Towary luksusowe:

Eleganckie stoliki niklowe po 3.00, 6.00 i 10.00 mk.
Lichtarze trzy- i pięcioramienne po różnych cenach.
Ozdoby stołowe po 1.00, 2.50, 3.00, 4.00 do 13.50 mk.
Serwis do kawy, niklowy, po 3.00, 5.00 mk. i drożej.
Puszki do keksów po 1.00, 2.50 do 8.00 mk.
Taca majolikowa z obwódką niklową od 1.00 mk.
Ścienne talerze i obrazy w wszystkich cenach.

Towary skórzane.

Portmonetki, trwałe i praktyczne, sztuka 0.25, 0.50, 1.00, 1.50 do 7.50 mk.
Albumy do fotografii, pluszowe, skórzane, oraz z skóry imitowanej, ślicznie wykonane, sztuka 0.50, 1.00, 2.00, 3.00, 4.00, 5.00 do 30.00 mk.
Walizki ręczne i kufry, trwałe i dobre, szt. 1.00 do 20.00 mk.
Neceserki do podróży, w gustownem wykonaniu, od 2.00 mk. począwszy.
Torebki w najmodniejszych fasonach po rozmaitych cenach.
Torby szkolne od 0.50 do 8.00 mk.
Piórniki sztuka 5, 10, 20, 30 i 50 fen.

Rozmaitości.

Łańcuszki dla panów szt. 0.25, 0.50, 1.00, 2.00 mk. oraz lepsze.
Szelki gumowe, bardzo trwałe, para 0.35, 0.50, 1.00, 1.50 oraz lepsze.
Scyzoryki, dobry towar, z Solingen, szt. 0.10, 0.25, 0.50, 1.00, 2.00 do 6.00 mk.
Ramki do fotografii ze szkła, bronzu imitowanego i bronzu prawdziwego.
Kosze do papieru, przyrządy do pisania i t. d.

Wielki skład
lalek ubranych, główek i korpusików do lalek, trzewików, pończoszek, kapelusików dla lalek i t. p.
Bezustanna wystawa zabawek każdego rodzaju.

Wielki wybór

w koniach biegunowych, wózikach dla lalek, huśtawkach dla dzieci, przyrządach gimnastycznych pokojowych, grach towarzyskich, piłeczkach i pudełeczkach z narzędziami, bębenkach, hełmach, pałaszach i wielu innych nowościach co do zabawek.

756

Stary Rynek 90. Rycerska ul. 39.



Władysław Warneńczyk.

(W rocznicę nieszczęsnej bitwy pod Warną d. 10. listopada 1444.)

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“